Nr. 3. Lwów, dnia 1. Marca 1890. Rok XIII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

W sprawie ustawy łowieckiej.

(Ciąg dalszy.)

§. 70.

Oprócz utraty karty myśliwskiej bez zwrotu taksy, podpada grzywnie od 5 do 50 zł. ktokolwiek:

a) używa karty myśliwskiej lub certyfikatu nie na jego imię wydanych, jak również i ten, kto swojej karty lub certyfikatu udziela innym do użytku;

b) kto bez posiadania karty myśliwskiej lub certyfikatu poluje;

c) kto bez wykazania się zezwoleniem uprawnionych do polowania po za obrębem domowego i gospodarskiego obejścia, krążyć będzie z bronią myśliwską po cudzym obszarze myśliwskim, choćby nawet z kartą lub certyfikatem myśliwskim, jeżeli się nie znajduje w podróży, na drodze lub ścieżce do użytku publicznego oddanej;

d) kto trzyma charty bez uiszczenia wskazanej ustawą niniejszą opłaty.

Bez utraty kart lub certyfikatów ulegają karze od 1 do 5 zł. ci, którzy w czasie wykonywania prawa polowania kart lub certyfikatów nie mają przy sobie.

§. 71.

W razie powtórzenia się przekroczeń w dziale niniejszym określonych, kara ma być podwójnie wymierzoną, ostatecznie jednak nie powinna przekraczać kwoty 200 zł.

§. 72.

Ukarani grzywną za przekroczenia niniejszej ustawy nie są zwolnieni od obowiązku wynagrodzenia szkody.

§. 73.

Jeżeli przeciw komu zaniesiono skargę o więcej niż jedno przekroczenie, władza orzekająca zastosuje karę według tego wymiaru, który okaże się najwyższym za jedno z przekroczeń, o które jest oskarżony.

§. 74.

Jeżeli kto przy popełnieniu przekroczenia z niniejszej ustawy używał do pomocy członków swojej rodziny, żyjącej z nim pod wspólnym dachem, osób będących pod jego opieką lub kuratelą, sług, najemników, albo uczniów i gości — w razie ich niewypłacalności odpowiada za grzywny na nich nałożone.

§. 75.

Jeżeli kilka osób wspólnie popełniło przekroczenie, odpowiadają oni solidarnie za szkody; kara jednak ma być wymierzoną dla każdej z nich osobno.

§. 76.

Kara pieniężna ma być wymierzona bez względu na wypłacalność winnego; dlatego w orzeczeniu należy równo-

cześnie oznaczyć czas ewentualnego aresztu na wypadek niemożności ściągnięcia grzywny.

Przy zamianie na areszt za grzywny nie dochodzące kwoty 5 zł., nie może on trwać króciej niż 12 godzin. Za grzywny od 5 zł. i wyżej, każde 5 zł. zamienia się na dzień aresztu.

§. 77.

Grzywny przypadają dla funduszu powiatowego myśliwskiego, zostającego pod zarządem wydziałów powiatowych, które mają prawo przeznaczać z niego jedną trzecią część na wynagrodzenia dla organów dla dozoru myśliwstwa przeznaczonych, jeżeli na ich doniesienia wymiar kary nastąpił, resztę zaś użyć na podniesienie kultury łowieckiej w powiecie.

§. 78.

Na c. k. żandarmeryę, zaprzysiężone straże leśne, straże polowania i straże polowe, tudzież na wszystkie inne straże publiczne wkłada się obowiązek czuwania nad przestrzeganiem przepisów niniejszej ustawy i podawania wszelkich spostrzeżonych przekroczeń do wiadomości miejscowej władzy policyjnej, dla doniesienia o tem władzy politycznej powiatu.

§. 79.

Właściciele i dzierżawcy polowania i ich dozorcy myśliwcy, następnie organa powołane do utrzymania porządku mogą każdego polującego nieprawnie na cudzym obszarze myśliwskim, jeżeli nie daje poznać swego nazwiska, lub zamieszkanie jego nie jest znanem, zaprowadzić do miejscowego urzędu gminnego dla zbadania jego osobistości.

§. 80.

Jeżeli o przekroczeniu myśliwskiem w przeciągu 3 miesięcy, licząc od dnia spełnienia czynu, nie będzie wniesioną żadna skarga lub doniesienie, wtedy następuje przedawnienie przekroczenia.

§. 81.

Dochodzenie i ukaranie przekroczeń tej ustawy należy do władzy politycznej I. instancyi, w której okręgu urzędowania czyn karze podlegający popełniony został.

Przeciw zarządzeniom na mocy tej ustawy wydanym, oraz przeciw orzeczeniom karnym I. instancyi, służy prawo odwołania się do c. k. Namiestnictwa a. w dalszym toku instancji do instancji ministerjalnej.

§. 82.

Wszelkie kontrakty o dzierżawę polowań gminnych przed wprowadzeniem w wykonanie niniejszej ustawy zawarte, ważne są aż do czasu ich ekspiracji o tyle, o ile ich rozwiązanie z innych przyczyn nie nastąpi, zatem wszelkie spory dotyczące praw właścicieli i dzierżawców polowania jakoteż pretensje odszkodowania, mają być rozpoznawane według dotychczas obowiązujących ustaw i rozporządzeń z zastosowaniem jednak przepisów niniejszej ustawy pod względem ich dochodzenia.

§. 83.

Obowiązujące dotąd ustawy i rozporządzenia, odnoszące się do prawa polowania i wykonywania takiego, patent o polowaniu z d. 28. lutego 1786 r., patent z d. 7. marca 1849 r., rozporządzenie ministerjalne z d. 31. lipca 1849 r. (Nr. 342. Dz. u. p.), rozporządzenie ministra spraw wewnętrznych z d. 15. grudnia 1852 (Nr. 257 Dz. u. p.), ustawa krajowa z d. 30. stycznia 1875 r. (Nr. 16 Dz. u. p.), jakoteż inne, o ile tych praw dotyczyć mogą, przestają obowiązywać w Królestwie Galicyi i Lodomeryi z Wielkiem Księstwem Krakowskiem, z wyjątkiem ustaw w §. 34 wymienionych.

§. 84.

Ustawa niniejsza wchodzi w wykonanie z dniem pierwszym stycznia po jej ogłoszeniu w dzienniku ustaw krajowych.

§. 85.

Moim Ministrom spraw wewnętrznych i rolnictwa polecam wykonanie tej ustawy.

Projekt ustawy łowieckiej, wypracowany w ministerstwie rolnictwa, nad którym zwołana niedawno ankieta obradowała, brzmi jak następuje:

Art. I.

Niniejsza ustawa łowiecka dla Królestwa Galicyi i Lodomeryi wraz z Wielkiem Księstwem Krakowskiem, wchodzi w życie w 30 dni po ogłoszeniu w Dzienniku ustaw i rozporządzeń krajowych.

Z dniem tym tracą moc obowiązującą wszystkie dotychczasowe ustawy i rozporządzenia, odnoszące się do prawa polowania i wykonywania takowego.

Art. II.

Okręgi polowania, względem których samodzielne prawo polowania było wykonywane, takowe jednak według postanowień niniejszej ustawy łowieckiej odpada, a które to okręgi przed ogłoszeniem tejże ustawy wydzierzawione zostały, podlegają przepisom niniejszej ustawy, odnoszącym się do osobistego prawa polowania, dopiero po upływie wspomnianej dzierzawy.

Art. III.

Memu Ministrowi rolnictwa i Memu Ministrowi spraw wewnętrznych poruczam wykonanie niniejszej ustawy.

Ustawa łowiecka

dla Królestwa Galicyi.

I. Prawo polowania i wykonywanie tegoż.

§. 1.

Prawo polowania polega na wyłącznem uprawnieniu do hodowania, ścigania i zabijania, w granicach przynależnego okręgu łowieckiego, zwierząt, na które polować wolno, jakoteż do przywłaszczania sobie tych zwierząt i oddzielonych od nich użytecznych części, jakoto rogów i t. p.

§. 2.

Zwierzętami, na które polować wolno, są: jeleń, daniel, sarna, kozica, zając, świstak, dziki królik, lis, kuna domowa i leśna, głuszec, cietrzew, jarząbek i kuropatwa, przepiórka, chróściel (derkacz), bażant, drop, czajka, różne gatunki bekasów, jakoto: słonka, bekas, bekasik, dubelt i kszyk, kulig, bąk, kulon i inne; dalej kurki wodne, mianowicie zaś łyski i wodniki, dalej gęś dzika, dzikie kaczki, jakoto: krzyżówki, cyranki, cyraneczki i inne, nakoniec różne gatunki dzikich gołębi.

§. 3.

Prawo polowania przysługuje, jako wypływ własności gruntowej, każdemu posiadaczowi gruntu, a w owych wypadkach, w których na mocy najwyższego postanowienia z dnia 30 marca 1859 zostały lasy obciążone służebnością do wykupna ciężarów gruntowych, z zastrzeżeniem prawa polowania odstąpione każdoczesnemu posiadaczowi tego kompleksu lasu, od którego rzeczone lasy zostały odłączone.

§. 4.

Prawo polowania może być wykonywane albo przez samego posiadacza gruntu (§. 5), albo też przez wydzierżawienie na rzecz posiadaczy gruntu (§. 10).

§. 5.

Prawo polowania wykonywane być może osobiście (samodzielne prawo polowania) na następujących okręgach, (samodzielne okręgi myśliwskie):

a) przez posiadaczy zwierzyńców, dalej takich gruntów, które są murem, parkanem lub też innym gęstym płotem przeciw wejściu do nich osób trzecich trwale i zupełnie zabezpieczone;

b) przez każdego posiadacza gruntu, mierzącego w nieprzerwanej przestrzeni przynajmniej 115 hektarów.

§. 6.

Przy zakładaniu zwierzyńców nie wolno do nich wcielać gruntów trzecich osób, bez tychże przyzwolenia.

§. 7.

W wypadku w §. 5 lit. *b.* oznaczonym, nie robi żadnej różnicy, czy posiadacz kompleksu gruntu jest osobą fizyczną lub prawną, pojedyńczą albo też z więcej osób złożoną.

Jeżeli jest jednak więcej posiadaczy, to tylko wtedy przysługuje im samodzielne prawo polowania, jeżeli kompleks gruntu znajduje się w niepodzielnem ich posiadaniu. Gminie przysługuje samodzielne prawo polowania według §. 5 lit. *b.* tylko względem kompleksu gruntu, który należy do majątku gminnego i takowy jest bądź we własnym bądź też w obcym okręgu gminnym położony, a prócz tego tylko w takim razie, jeżeli gmina posiada własny statut.

Względem kompleksu gruntu, który został w drodze wykupna służebności spółce uprawnionych odstąpiony, jakoteż kompleksu gruntu, który znajduje się w wspólnem posiadaniu lub używaniu innych podobnych agraryjnych spółek, nie przysługuje uprawnionym samodzielne prawo polowania według §. 5 lit. *b.*

§. 8.

Jako nieprzerwany, w myśl §. 5 lit. *b.*, ma być kompleks gruntu tylko wtedy uważany, jeżeli pojedyńcze grunta, czy to leżące w jednej czy też w kilku przyległych gminach pozostają ze sobą w takim związku, iż z jednej części gruntu można się dostać na drugą, nie przechodząc przez grunt cudzy.

Drogi publiczne, koleje żelazne i należące do nich przyległości, dalej rzeki i potoki, które kompleks gruntu przerzynają, jakoteż znajdujące się pośrodku niego w całości lub części wody stojące, nie stanowią przerwy tego kompleksu, a nawet i wyspy mają być w tym względzie jako połączone z gruntami nadbrzeżnymi uważane. Natomiast nie tworzą kompleksu wymaganego do samodzielnego prawa polowania grunta od siebie przez inne grunta oddzielone, a które połączone są tylko ze sobą przez drogi i wody, ciągnące się wzdłuż tychże cudzych gruntów.

§. 9.

Co do dopuszczalności założenia zwierzyńca, jakoteż co do zupełnego zamknięcia przestrzeni gruntowej (§. 5 lit. *a* i *b*), albo też co do istnienia nieprzerwanego kompleksu gruntu w myśl §. 8, rozstrzyga w wypadkach spornych polityczna władza powiatowa.

§. 10.

Grunta położone w obrębie gminy miejscowej, względem których nie przysługuje prawo samodzielnego polowania według §. 5, lub też względem których nie uczyniono zgłoszenia w myśl §. 11, stanowią gminny okręg polowania. W obrębie gminnego okręgu polowania może być prawo polowania wykonywane tylko w drodze wydzierżawiania na rzecz posiadaczy gruntów (polowanie gminne). Pod względem wydzierżawiania tego prawa polowania zastępywani bywają posiadacze gruntów przez reprezentacyę gminną w miarę postanowień niniejszej ustawy.

Jeżeli do gminnego okręgu polowania przyłączone zostaną grunta obszaru dworskiego (§ 11 alinea 4), to w braku porozumienia pomiędzy reprezentacyą gminną a przełożonym obszarów dworskich, przysługuje rzeczone zastępstwo tej pierwszej lub temu ostatniemu według tego, czy grunta gminne albo też grunta należące do obszaru dworskiego są co do przestrzeni większe. Przytem ma strona do zastępstwa powołana porozumieć się zawsze ze stroną drugą, wolno jednak tej ostatniej stawiać u politycznej władzy powiatowej w miarę postanowień niniejszej ustawy samodzielne wnioski.

Jeżeli posiadacz gruntów, należących do obszaru dworskiego, które do gminnego okręgu polowań przydzielone zostały, jest zarazem dzierżawcą odnośnego polowania gminnego w całości lub też w części tegoż, to przysługuje zastępstwo w każdym razie właściwej reprezentacyi gminnej.

§. 11.

Celem ustanowienia gminnego okręgu polowania w myśl §. 10, winna jest władza powiatowa na sześć miesięcy przed upływem każdoczesnej bieżącej dzierżawy polowania ogłosić za pomocą edyktu w miejscu siedziby urzędu i w dotyczącej gminie, jak niemniej i na obszarach dworskich, których grunta należą razem z gruntami gminnymi do jednej gminy katastralnej, iż posiadacze gruntów, którym przysługuje wrzekomo na przyszły peryod dzierżawy polowania na mocy §. 5 lit. *b* prawo do osobistego wykonywania prawa polowania, mają prawo to w przeciągu sześciu tygodni u politycznej władzy powiatowej zgłosić i w sposób należyty uzasadnić. Polityczna władza powiatowa winna przedłożone zgłoszenia i dowody zbadać, w danym razie zarządzić potrzebne dochodzenia i następnie wydzierżawić się mający gminny okręg polowania ustanowić.

Samodzielne polowania w myśl §. 5 lit. *b*, na gruntach do gminy należących, które nie zostały w powyższym terminie sześciu tygodni do wyłączenia z gminnego okręgu polowania zgłoszone, należą na następny peryod dzierżawy do gminnego okręgu polowania. Oznaczone w alinea 1. grunta do obszaru dworskiego należące, względem których nie zostało samodzielne prawo polowania w przeciągu powyższego terminu zgłoszone, mają być na następny peryod dzierżawy do tego gminnego okręgu polowania owej gminy przydzielone, do którego reszta gruntów tej samej gminy katastralnej należy.

Natomiast samodzielne polowania oznaczone w §. 5 lit. *a*, pozostają już jako takie z okręgu polowania gminnego wyłączone i nie potrzeba już tu przy ustanawianiu gminnego

okręgu polowania ani osobnego zgłoszenia ze strony odnośnych posiadaczy gruntów ani też bliższego określenia tego samodzielnego okresu polowania.

§. 12.

Jeżeli dwie lub więcej reprezentacyj gminnych (przełożonych obszarów dworskich), postanowi, iż gminne okręgi polowania mają być na jeden lub więcej peryodów dzierżawy we wspólny gminny okręg polowania połączone, to może polityczna władza powiatowa odpowiednio do tych uchwał zarządzić połączenie odnośnych okręgów polowania gminnego na uchwalony peryod czasu, jeżeli tylko to połączenie leży w interesie odpowiedniego celowi wykonywania prawa polowania.

Jeżeli szczególne stosunki, a mianowicie różnorodność polowania na pewnych częściach pojedyńczego lub połączonego okręgu gminnego polowania za tem przemawiają, może polityczna władza powiatowa na wniosek reprezentacyi gminnej (przełożeństwa obszarów dworskich), lub na wniosek jednej z reprezentacyi gminnych (przełożonych obszarów dworskich) połączonego gminnego okręgu polowania dozwolić, po wysłuchaniu znawców, na rozdzielenie gminnego okręgu polowania, względnie połączonych okręgów polowania, na więcej gminnych okręgów polowania, przestrzeń jednak żadnego gminnego okręgu polowania nie może wynosić mniej niż 115 hekt.

Polityczna władza powiatowa może dalej, celem odpowiedniej arondacyi niewłaściwie ukształtowanego, pojedyńczego lub połączonego gminnego okręgu polowania, po wysłuchaniu dotyczących reprezentacyj gminnych (przełożonych obszarów dworskich), pojedyńcze grunta albo części tychże od gminnego okręgu polowania oddzielić i do innego okręgu przyłączyć, wskutek tego nie może jednak przestrzeń gminnego okręgu polowania zmniejszyć się poniżej 115 hekt.

§. 13.

Jeżeli ustanowiony w myśl §. 11 i 12 alinea 1 gminny okręg polowania wynosi mniej niż 115 hekt., to przysługuje przedewszystkiem właścicielowi sąsiedniego, stosownie do postanowień §. 5 lit. *b* istniejącego samodzielnego polowania, a w razie istnienia więcej takich sąsiednich samodzielnych polowań, przedewszystkiem posiadaczowi w większej przestrzeni graniczącego samodzielnego polowania prawo wydzierżawienia całego polowania gminnego przed każdym innym, i to bez licytacyi, za cenę, która odpowiada czynszowi za wydzierżawione w drodze publicznej licytacyi polowanie na przyległych gruntach gminnych, a to biorąc za podstawę czynsz dzierżawny, przypadający od hektaru tychże gruntów.

§. 14.

Jeżeli gminny okręg polowania wynosi więcej niż 115 hektarów, i jeżeli pojedyńcze części takowego otoczone są zupełnie lub też w dwóch trzecich częściach przez samodzielne polowanie, istniejące stosownie do §. 5 lit. *b* (enklawy), to posiadacz odnośnego samodzielnego okręgu polowania ma, o ile wskutek tego nie zmniejszy się gminny okręg polowania poniżej 115 hekt., prawo pierwszeństwa do wydzierżawienia polowania na tych enklawach przed każdym innym, bez licytacyi i za cenę, która odpowiada czynszowi dzierżawnemu od tej przestrzeni, biorąc za podstawę czynsz dzierżawny, uzyskany za hektar przyległego, w drodze publicznej licytacyi wydzierżawionego polowania gminnego. Jeżeli enklawa otoczona jest przez więcej samodzielnych polowań, to przysługuje powyższe prawo wydzierżawienia posiadaczowi tego samodzielnego okręgu polowania, który w większej przestrzeni z enklawą tą graniczy.

Jeżeli przez różne samodzielne okręgi polowania, więcej takich enklaw utworzonych zostanie, i jeżeliby przez wykonywanie prawa dzierżawy ze strony wszystkich, albo też niektórych posiadaczy samodzielnego polowania, zmniejszył się gminny okręg polowania poniżej 115 hekt., to winna polityczna władza powiatowa, po wysłuchaniu znawców, w uwzględnieniu wszystkich decydujących okoliczności, postanowić, któremu z posiadaczy samodzielnego polowania, prawo pierwszeństwa do wydzierżawienia polowania na enklawach mających, prawo to ma być przyznane, byleby jednak wskutek tego gminny okręg polowania nie zmniejszył się poniżej 115 hekt.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

SŁONKA.

Studyum przyrodniczo-łowieckie.

Napisał

Władysław Spausta.

(Dokończenie.)

Myliłby się każdy, ktoby ze zewnętrznego wyglądu sądził o umysłowych władzach słonki. Cała fizyognomika na nic tu się nie zda, bo nad wszelki wyraz głupio wyglądająca zewnętrzna strona tego ptaka, mieści w sobie stworzeńko roztropne i chytre.

Lecz cóż się składa na wyraz głupi u słonki? Sądzę, że głupota u wszystkich organizmów jednakowo się zaznacza, i jeżeli w ukształtowaniu tworu nie spotykamy dodatnich form tam, gdzieby je według naszego pojęcia znaleźć należało, i jeżeli organa zmysłowe, owe przewodniki wszelkiej świadomości, są albo nieproporcyonalne, albo według naszego pojęcia nie we właściwem położone miejscu, — powiadamy, że twór ten robi wrażenie głupie.

Wrażenie to jest u słonki bardzo usprawiedliwione i ona, chociaż powierzchownie, wzięła — jak Regnard powiada — okruszynę głupstwa w podziale. Czaszka, w miejscu, w którem u innych tworów bywa wypukłą, jest u niej zaklęsłą, a rów głęboki przechodzi od osady dzióba aż do tyłogłowiu, jamy zaś oczne tyle w sobie mieszczą przestrzeni, ile reszta zawartości czaszki wynosi, a wielkie oczy osadzone są gdzieś na tyle i górze głowy.

Nadzwyczajnym jest u słonki zmysł zwroku. Wielkiemu

jej oku o wielkiej źrenicy dozwoliła natura przeglądać ponure cienie zarośli i zmierzchu. Jeżeli tylko myśliwy nie jest dobrze ukryty, gdy ubranie jego odbija na tle ziemi, to najniezawodniej ciągnąca słonka zboczy z kierunku, ujrzawszy zdaleka obcy przedmiot. Innym razem, siedząc na ziemi, buszującemu myśliwemu da się zbliżyć o tyle, iż nie można się spodziewać jej bliskiego pobytu; raptem zrywa się za plecami i mknie pomiędzy gęstwinę, uniemożliwiając strzał. Inną razą wcale się nie zrywa, lecz pozwala przejść koło siebie, przypadłszy do ziemi.

Zerwawszy się, leci nieraz kilkadziesiąt a nawet kilkaset kroków, wreszcie zatacza koło, a gdy się zniży w gęstwinę tak, iż się usunie oczom myśliwego, leci jeszcze jakiś kawał po nad ziemią i dopiero zapada, myląc w ten sposób miejsce pobytu. Nieobeznany z tym wybiegiem myśliwy, nie umie sobie zniknięcia słonki wytłumaczyć, bo widząc dokładnie, gdzie słonka pozornie zapadła, nie znajduje jej tamże, udawszy się natychmiast w tym kierunku; sądzi wreszcie, że podbiegła trochę dalej, ale i te poszukiwania zawodzą, bo znajduje się ona daleko od miejsca pozornego zapadu.

Gdy podczas posuchy lub wskutek przymrozku ograniczą się żerowiska słonek, można po urządzeniu budek z gałęzi i liścia koło miejsc dla żeru nawiedzanych, dokładnie obserwować tego ptaka rankiem lub o zmroku wieczornym. Łakomstwo wrodzone bierze o tyle przewagę nad chytrością i płochą naturą słonki, iż gdy padnie strzał, i jedna z kompanii legnie nieżywa, inne nie zwracają na to uwagi i żerują dalej. Jestto jedyna sposobność do robienia spostrzeżeń nad tym, zresztą oku ludzkiemu usuwającym się ptakiem, a korzystać z niej można tylko tam, gdzie słonki obficie przebywają.

Oddawna już była słonka przedmiotem łowiectwa, nabrała jednak w łowiectwie dopiero za naszych czasów godnego siebie znaczenia, gdy społeczeństwo myśliwskie, stanąwszy na wyższym szczeblu inteligencyi, znalazło smak i upodobanie w łowach, szczupłą dających zdobycz, a za to brzemiennych prawdziwie pięknemi obrazami przyrody, zostawiających miłe wspomnienia u każdego umiejącego odczuwać piękno natury, owe wspomnienia, będące „rajem, który nikomu nie może być wydartym“.

Ustawa z dnia 30 stycznia 1875 r. naznacza czas od 20 kwietnia do 31 sierpnia jako ochronny dla słonki. Jestto, jak widzimy z poprzedniego, czas, w którym słonka przebywa na północy, wolno ją zatem strzelać na ciągu wiosennym i podczas jesiennej wędrówki. W zgromadzeniach ustawodawczych długo rozbierano kwestyę, czy ma być dozwolone strzelanie słonek na ciągu. Zasadniczo rzecz biorąc, nie powinnaby ustawa dozwalać polowania jakiegokolwiek na słonki w porze wiosennej, aby wszakże ochrona taka w całym tego słowa znaczeniu mogła być skuteczną, potrzebaby zgodnej ustawy wszystkich krajów i państw, w których słonka czasowo gości lub zimuje. Jednobrzmiąca zatem ustawa, naturalnie z uwzględnieniem położenia geograficznego krajów, objąćby musiała całą Europę. Ponieważ na dziś to jeszcze jest niemożebne, ustawa ochronna jednego państwa przysparzałaby tylko obfitą zwierzynę społeczeństwu państw innych — ztąd słonkę dozwalają strzelać na ciągu prawie wszystkie ustawy łowieckie państw europejskich.

Ciągi słonek budzą nietylko interes w kołach zawodowych myśliwskich, ale wywołują całe masy dyletantów łowiectwa z szeregów inteligencyi miast, i z tego względu mają dla społeczeństwa wielkie znaczenie. Wśród zmartwychwstającej przyrody, spotyka wielu bardzo, skazanych na monotonne życie wśród zgiełku miast, uroczą odmianę, a każdy umysł znajduje w wycieczkach tych bądź odpoczynek, bądź odbiera szczególniejsze wrażenia, uszlachetniające serce i orzeźwiające skołatany pracą umysłową organizm. Im wyżej stanęło społeczeństwo w rozwoju cywilizacyjnym, tem większą odczuwa potrzebę zaczerpnięcia od czasu do czasu owego balsamu wolnej natury; nie dziw więc, że garnie się do tej wspólnej naszej matki przyrody, aby zdaleka od zgiełku świata obmyć się u tego źródła Hipokreny, i nabrać sił do znoszenia dalszych zapasów życia.

Rozlew krwi na ciągu jest zwykle bardzo mały, bo pominąwszy, iż strzał do ciągnącej słonki, nawet gdy jeszcze jasno, bardzo wprawnej ręki wymaga, strzela się po większej części w mroku i pudłuje najczęściej; pora jednak roku i otoczenie wprowadza myśliwego w szczególniejszy nastrój a to bezpośrednie zetknięcie się z przyrodą, wywołuje wrażenia nie dające się innemi zastąpić.

Kiedy tylko z pierwszym brzaskiem wiosny pokażą się pierwsze ptaki z południa, gdy pliszka, ów herold słonki, dźwięcznym odezwie się głosem, zaczyna i krew myśliwego jakoś grać inaczej. Z tęsknotą, a razem z radością spogląda on w górę na tych panów obcego mu żywiołu; z radością — bo są to zwiastuny zmartwychwstania przyrody — z tęsknotą, bo deukaljonowe plemię naprózno wysila się, chcąc wzlecieć na różane szczyty Olimpu, i odprowadza tylko rzewnem spojrzeniem przemykające po błękicie klucze ciągnącego ptactwa.

Skowronek już dawno w polu „przepieruje“, na pastwiskach i łąkach czajki monotonne „kiwit“ powtarzają, na strzesze z radością witany usiadł bocian, w wyżynach „strukają“ żurawie, tu i owdzie przeleci stado dzikich kaczek. Pora ciągu słonek zastaje myśliwego w lesie na stanowisku. Jeszcze za dnia jasnego przebiegł on miejsca znanych żerowisk, w gęszczakach badał liści suchych powłokę, lecz o bytności słonek nic tu jeszcze nie mówi; tu i owdzie wabi oko błękitny trojanek lub zdradziecki wawrzynek *(Daphne mezereum)*, na moklakach bielą się całe lasy śnieżycy *(Galanthus nivalis)*, nad głową dycha wiatr po gałązkach nabrzmiałych sokiem, cokolwiek niższym jak w zimie tonem, korony drzew brylują w barwach żywszych i połyskują do zachodzącego słońca, kwitnie gdzieniegdzie zapóźniona leszczyna, wyszczerzając do światła rubinowe blizny kwiatu, potrząsa kwiatem czarna olsza. W lesie jeszcze cicho... Czasem zamąci ciszę bębnienie gołębia siniaka w pobliskiej dębinie, zaświerka szpak w zaroślach od brzegu lasu, pokłucą się w gęstwinach drobne ptaszęta lasowe i całą płachtą przelecą nad głową, niknąc w cieniach lasu. Wreszcie od strony, gdzieś na stoku północnym lasu, gdzie leży jeszcze ława śniegu, dmuchnął zimny wiatr, otarł się o myśliwego i tchnął mu w przelocie: „zawcześnie jeszcze, zawcześnie!“ Zakrakał kruk z gniazda zlatujący, a Boruta zachichotał gdzieś w oddalonej debrze, i słońce w ołowianej mgle zapadło pod horyzont ziemi.

Minęło kilka dni zmiennej pogody, to zaszumiał groźny akwilon i spadły wielkie płaty śniegu, to znów zabłysło jaskrawym blaskiem słońce, wreszcie zwyciężył ciepły oddech z południa i po deszczu wypogodziło się. W sferach powietrznych trwa dalej ruch i dalsza wędrówka, coraz nowe przelatują stada i coraz nowsze zjawiają się rodzaje. Teraz już bez obawy narażenia się na szyderczy śmiech demonów leśnych, udajmy się na ciąg słonek.

Słonka niechętnie ciągnie po nad bardzo wysokie drzewa, a i strzał taki jest mniej pewny, przeto powinno się stanowisko obierać w niskich drzewostanach, przy zrębach, wogóle w miejscach jasnych, a uważać na to, aby stanowisko samo

było skryte. Jeżeli takich miejsc nie ma, trzeba je odpowiednim przerębem stworzyć, odkrywając o ile możności widok od zachodniej strony, gdyż twarzą do zachodu powinien być myśliwy obróconym, chcąc w mroku wieczornym strzelać do słonki ze skutkiem. Dobry wyżeł, jakkolwiek jest rzeczą wygodną na ciągu, jednak niezbędnym nie jest, w każdym razie lepiej jest na ciągu bez psa jak z psem niesfornym i źle ułożonym. Pies powinien zachowywać się zupełnie spokojnie i obrać miejsce skryte obok myśliwego, szczególnie, gdy jest barwy odbijającej mocno od tła ziemi. Psy legawe, po kilkurazowym pobycie na ciągu, zdają się pojmować doskonale swą rolę, zachowują się zazwyczaj spokojnie, a myśliwy, uważając na psa, może z miny tegoż niejako wyczytać, z której strony słonka nadciąga, co naszym niedokładnym zmysłom nie zawsze się udaje.

Najważniejszem powołaniem psa, jest wyszukiwanie słonki ubitej lub obarczonej. Mogłoby się komu zdawać, że przesadzam, twierdząc, iż znalezienie słonki spadłej z dymem nawet, nie należy do rzeczy łatwych, a jednak tak jest; poświadczą mi to wszyscy myśliwi. Bez dobrego psa przepada bardzo wiele słonek marnie. A cóż dopiero powiedzieć o słonce postrzelonej, „zbarczonej“, jak mówią myśliwi, t. j. pozbawionej możności lotu? Chyba przypadkiem można taką słonkę bez psa odnaleźć, ba nawet i nie każdemu psu sztuka się ta zawsze udaje. Szukanie takie odbywa się zwykle po ciągu, bo trudno krótką chwilę tegoż używać na buszowanie po krzakach, a zatem w silnym zmroku, spotęgowanym jeszcze cieniami krzaków i zarośli.

Wspomnieć tu muszę, właśnie z przyczyny, iż pies nie jest rzeczą niezbędną na ciągu, iż branie byle jakiego wyżła ze sobą, ujmuje i właścicielowi psa i drugim myśliwym tej krótkotrwającej rozrywki. Zdarzyło mi się nieraz stać na ciągu obok sąsiada z takim źle wychowanym psem. Zamiast mieć rozrywkę, toczył on bezustanną sprzeczkę z niesfornem stworzeniem, a w ciszy leśnej groźne łajania pana i skomlenie psa wskazywały, że szło tam na seryo. Rzecz naturalna, że taki myśliwy słonki nie widział. Napędźmy zatem psy kundysiej natury do domu, a sami wracajmy na nasze stanowisko.

Tu i owdzie po lesie lśnią jaskrawą barwą nieba kałuże wody, rozsiewając blaski gasnącego dnia po tajemniczych mrokach lasu. W miejscach, gdzie cienie drzew padają na wodę, nowe oku ludzkiemu przedstawiają się dziwy: prześlicznie odźwierciadla się przyroda leśna na sytym kolorze ocienionej wody; widać tam świat przewrócony, a głębia tych widoków ginie wśród silnych barw źwierciadła wody. Ciemne pnie drzew wydają się jasnymi na intenzywnej barwie wodnej szyby, a kiedy owad, wietrzyk lub skrzydło ptaka muśnie powierzchnię szyby, drży ten cały świat zaklęty i pnie drzew zdają się kręcić w liniach śrubowych pośród przedziwnych rozbłysków i gry kolorów. Jestto ułuda, ale ułuda wspaniała, a wpatrując się w ten pozornie podziemny świat zjawisk, zapomina się choć na chwilę o troskach jutra i o walce życia.

Słońce pała jeszcze na zachodzie, rzucając długie cienie na cały krajobraz. Ziemia lasów przystroiła się zrzadka kwiatkami, kłują się pojedyńcze trawki, a płatami całymi okrywa warstwę zeschłego liścia śnieżny zawilec *(Anemone nemorosa)*. Kwitną osiki, topole, wiązy, brzosty, jesiony i olchy, a zdala wpada w oczy swemi kwiaty iwa i krzewiaste wierzby lasowe; tylko poważny dąb zdaje się jeszcze drzemać i uwydatnia przebudzenie się innych drzew jeszcze dobitniej swym mroźnym kontrastem, tak jak w świecie ptasim odległe krakanie wrony, szukającej miejsca na gniazdo, podnosi wesoły szczebiot najróżnorodniejszego ptactwa leśnego.

Wtem zapiskotał kos w pobliskim krzaku. Ciekawe stworzeńko to ujrzało człowieka i śpieszy zawiadomić o tem towarzyszy; na głos jego odezwały się wszystkie kosy w kniei — potem chwila ciszy, i znów świergot, śpiewy i przelatywanie rozmaitych wesołych gromadek. W pobliskiej wiklinie świerka szpak swą komiczną piosenkę, jakby przedrzeźniając głosy owych najróżnorodniejszych krzykaczów i śpiewaków lasu.

Gdy oko dnia zapadnie, milkną pojedyńcze śpiewaki, słychać pojedyńcze nawoływania ptasząt i szelest na gałązkach. Tymczasem coraz wyżej rysuje się na firmamencie cień ziemi, obwlekając wschód naprzód siną, później ołowianą barwą. W miarę, jak słońce głębiej pod horyzont się zniża, powiększa się segment cieni na wschodniem niebie, a równocześnie pała zachód najwspanialszemi barwami złota i purpury, podczas gdy u zenitu prawie biała odbija jasność. Już jedna trzecia część wschodniego nieba okryła się mrokiem, już pierwsze gwiazdy, a mianowicie jutrzenka, zarysowały się dokładnie na tle indygowem, wtenczas słonka wzlatuje ze swego dziennego ukrycia i ciągnąć zaczyna.

Po 20 minutach, a najdalej w pół godziny zciemniło się już o tyle, że nawet na jaśniejszem tle zachodu strzał jest niemożebny; przeciąga jeszcze tu i owdzie słonka, słychać jej głos, lecz jej samej już nie widać.

Z rozpoczęciem się ciągu, usypiają coraz więcej śpiewacy leśni, nowe głosy zaczynają się odzywać i nowi aktorowie występują na widownię. Kszyk, wyprawiając w obłokach gdzieś gody, beczy jak baran i spuszcza się jak kula ku ziemi; z jeziorek leśnych zrywają się kaczki, a na donośne i przeraźliwe kwaknięcie kaczora, kwaczą całe stada i z poświstem skrzydeł lecą, aby spuścić się z pluskiem na inne wody. Hupało (bąk) zabączy a akompaniują mu prześwistywaniem maleńkie kuliki. Wreszcie i ta scenerya się zmienia. Cichym jak duchy lotem, przesuwają się po mrocznym niebie wcielenia Nyctomeny, przeciągłym i melancholijnym głosem nawoływując się wśród ogólnej ciszy. Lecz i ta cisza, to nie cisza śmierci, to cisza tylko dla ucha niewprawnego; ciągle tam po lesie jakieś szmery słychać: to może kozioł z mchu czyści rogi na krzaku, może lis zeschły liść porusza, dyndając w pole, a może... może wilkołak jaki błąka się po gęstwinie.

Kierunek ciągu jest niezawodnie rozmaity, wszelako po dokładnem obserwowaniu tegoż przychodzimy do przekonania, że najwięcej słonek ciągnie w kierunku obfitych żerowisk. Najlepiej to zauważyć można, stojąc pod lasem już dobrze podrosłym, z którym graniczy świeży lub niedawny zrąb, gdzie obfite znajdują się żerowiska, jakoto: świeżo bydłem lub wozami poruszana ziemia i odchody zwierząt. Z pewnością bardzo przeważna część słonek przeciągać będzie z lasu ku zrębowi. Ptaki te, przesiadując za dnia w gąszczach lub w lasach starszych, podszytych krzewami, dopiero ciągiem przelatują na miejsca odkryte. Czy one tam nocują, tego z pewnością twierdzić nie mogę, bo wszystko, co następnie się dzieje, ciemnia nocy kryje; to jednak pewna, że późno już po ciągu wieczornym zdarza się usłyszeć głosy słonek w powietrzu. Czyżby to były słonki powracające z żerowisk? A może to drugi ciąg nowy?

Ciąg ranny, jakkolwiek trwa krócej, przedstawia jednak tyle właściwego sobie uroku, że warto dlań poświęcić kilka godzin snu. Zjawiska na ciągu rannym orzeźwiają budzącem się życiem w lesie i dają sposobność podpatrywania przyrody w ciekawych szczegółach.

Zachowanie się myśliwego na ciągu porannym jest zupełnie podobne do opisanego, z tą różnicą, że twarzą należy się obrócić do rozjaśniającego się wschodu.

Najwygodniejszym jest strzał na ciągu, gdy słonka w wysokości około 35 kroków na sztych nadlatuje, i gdy ją zdaleka się widzi, a tu znów lepszy za odlatującą, gdy ku jasnej nieba stronie ciągnie. Strzały wprzód są niepewne, bo ptak łatwo ze strzału ucieka, a branie na cel nie może być tak dokładne. Najtrudniejszemi są strzały do bardzo nisko ciągnących słonek, zwłaszcza na ciemnym tle lasu. W zmierzchu wymagają takie strzały szczególniejszej wprawy oka.

Myśliwi, nawykli do częstego strzelania w mroku, nabywają podziwienia godną rutynę, a rozszerzająca się źrenica oka dozwala im rozróżniać bardzo delikatnie rysujące się kontury przedmiotu. Naturalnie, że sama organizacya oka odgrywa tu wielką rolę i największa wprawa nie zdziała wiele, jeżeli oko w mroku widzi niedokładnie.

W nowszych czasach zalecano używanie świecących muszek na strzelbie przy strzelaniu w mroku nocnym. Sądzę, że wprawny myśliwy sposobów takich używać nie potrzebuje, początkujący zaś i ze świecącą muszką słonki nie ubije, zwłaszcza, że taka muszka bynajmniej celu nie rozjaśnia, a świecących słonek dotychczas jeszcze nie wynaleziono. Idąc za regułą myśliwską, strzela się na ciągu tak długo, póki dobre zmierzenie jest możebne, jak długo jeszcze panuje t. z po niemiecku „Büchsenlicht“; wszelkie strzały późniejsze zależą od przypadku a nie od wprawy, dlatego nie bawią się w nie prawdziwi myśliwi.

Zwykle strzela się na ciągu śrótem Nr. 6 i małemi nabojami prochu. Najpraktyczniej używać dwóch numerów śrótu, t. j. Nr. 6 i Nr. 7, ładując temi dwoma numerami strzelbę dwururkową. Strzały dalsze są pewniejsze śrótem grubszym.

Oprócz polowania na ciągu, polują jeszcze rozmaitymi sposobami na słonki, tak na wiosnę jakoteż w jesieni. Oprócz na ciągu, nie da się usprawiedliwić w porze wiosennej żadne inne polowanie na słonki; dlatego nie chcę się zatrzymywać nad tym wcale nie myśliwskim przedmiotem. Pozostaje mi zatem jeszcze tylko do określenia polowanie jesienne.

Ponieważ słonka w jesieni nie ciągnie tak, jak na wiosnę, musi być bądź za pomocą psa, bądź przez pogonkę z ukrycia swego wypłoszoną. Polowanie z wyżłem jest z pewnością najkorzystniejsze, a strzał łatwy, jeżeli tylko dany jest w chwili stosownej. Najdogodniejsza chwila strzału jest wtedy, gdy słonka prostopadle wzlatując, do najwyższego punktu się wzniesie, a potem w płaszczyźnie poziomej ulatuje. Jestto niejako chwila spokoju i z tej należy korzystać.

Przed psem wytrzymuje słonka doskonale, a najlepszymi są tu psy wolne, krótko przy nogach chodzące, a przytem ochotne. Już sam teren nie dozwala zwykle strzałów dalekich, dlatego też pies wolny i dobrze ściągający jest ważnym warunkiem korzystnych strzałów. Zwykle psy doskonale słonkę zwietrzają. Bardzo ważną jest tutaj rzeczą umieć o każdej porze słonkę w jej ukryciu wynaleźć, jak każde bowiem zwierzę, tak i ona znajduje się w pewnych miejscach gęściej, w innych rzadziej, a niektóre zupełnie omija. Istnieją jednak pod tym względem pewne prawidła, które wszędzie mają swą wartość praktyczną. Miejscowe stosunki i doświadczenia mogą jeszcze wiele dopowiedzieć, wszelako nie alterują w niczem ogólnych prawideł, spoczywających w naturze rzeczy.

Najodpowiedniejszą porą do polowań na słonki z wyżłem, są dnie pogodne a przynajmniej suche. Podczas przymrozków przebywają słonki w dołach i przy oparzeliskach, przeciwnie po deszczu więcej ich po pagórkach spotkać można. Najulubieńszemi ich miejscami są gęste zarośla młodych zrębów, gdzie wiele iwiny i wierzb się znajduje. Zarośla takie trzeba przeszukiwać o ile możności idąc z zewnątrz, a posełając do wnętrza psa. Wlazłszy samemu w krzaki, nie dochodzi się zwykle do dobrego strzału. Jak wogóle przy każdem polowaniu tego rodzaju, tak i tu zachować należy dwa prawidła, a mianowicie postępować pod wiatr, bo inaczej słonka daleko się porywa a wiatr psa bałamuci, i być twarzą odwróconym od słońca, według przysłowia ojców naszych: „Do zwierza po wiatru, do ptaka pod słońce, jako do konia w omacku nietrafny chód“.

Większe towarzystwa myśliwych polują na słonki z obławą. Polowania takie dotyczą albo wyłącznie tylko słonki, albo łączą się z myśliwstwem na innego zwierza. Według tego zachować się ma i nagonka. Obława, wyłącznie na słonki, może być swobodniejszą i głośniejszą, również używanie grzechotek jest tu na miejscu. Jeżeli pora jest tego rodzaju, że słonki twardo dosiadują, co się zwyczajnie zdarza podczas tak zwanej głuchej jesieni, gdy liść z drzewa już opadł i czas wilgotny nastanie, dobrze jest kilku myśliwych posłać wraz z obławą. Słonka w takiej porze bryka (wzlatuje) przed samą nagonką i niedaleko zapada. Wszystkie zatem w ten sposób brykające słonki, zwłaszcza te, które w tyle nagonki zapadają, przepadłyby dla myśliwych na przodzie rozstawionych. Niemniej skrzydła miotu powinne być również obstawione myśliwymi, którzy w miarę posuwania się łańcucha obłowniczego, naprzód się posuwają. Do polowania tego rodzaju są najdogodniejsze zręby lub nie wysokie zapusty, w których myśliwi zdaleka lecącą słonkę ujrzeć mogą, pogonka zaś mimo to po ujrzeniu słonki powinna głosem o tem myśliwych powiadomić. Niespodziewana słonka, zwłaszcza gdy pośród drzew wysokich leci, należy do najtrudniejszych strzałów i wymaga ogromnej zręczności i błyskawicznej szybkości w strzelaniu.

Trafiona strzałem w locie słonka, rozmaicie się po strzale zachowuje, w miarę tego, w którą część ciała została ugodzoną. Dobrze jest zatem objawy te po strzale poznać, gdyż od nich zależy także i zachowanie się myśliwego. Śmiertelnie postrzelona w głowę lub piersi, ściąga loty (skrzydła), i koziołkując w powietrzu, w prostopadłej linii spada. Gdy zaś słonka po strzale ukośnie spada, to znak, iż jest zbarczoną czyli w skrzydła postrzeloną, a wskazuje to jeszcze dokładniej pewien rodzaj trzepotania się podczas spadania. Przy porażeniu grzbietu opuszcza oba loty i spada prawie pionowo. Lekko postrzelona, drgającym lotem oddala się jeszcze o kilkaset kroków i dopiero zapada, zniżając się powoli; gdy zaś lekki taki postrzał dotknął draśnięciem głowę lub dziób, wtenczas wznosi się po strzale w górę, zatacza niewielkie koło i spada bliżej lub dalej, w miarę kierunku i głębokości draśnięcia strzałem.

Czy to zbarczona, czy też w jakikolwiek sposób zraniona słonka, zachowuje się zupełnie cicho, nawet gdy została ujęta ręką myśliwego lub przez psa złapaną. Przynajmniej co do mnie, nie słyszałem, aby kiedykolwiek ptak ten, po strzale już ujęty, wydawał głos jaki. To też, jako *curiosum* powtarzam tu wiadomość, umieszczoną w czasopiśmie *Waidman* r. 1889, według którego zbarczona słonka odzywała się nawet wtedy, gdy ją w rękę ujął myśliwy, a sprawozdawca dodaje, że głos był podobny do ćwierkania świerka domowego. Być może, że doświadczenie moje pod

tym względem za szczupłe, a może polskie nasze słonki są więcej milczącego usposobienia i nie umią śpiewów łabędzich.

Oprócz tu opisanych sposobów polowania na słonki, istnieje jeszcze jeden sposób łowów, o którym wspomnieć tu należy, a wspomnieć ze wstydem:

„...Śmierć nietylko z zabójczej rurówki
Sięga pielgrzymów z dalekiej wędrówki,
Jeszcze i sidła po ziemi rozpięte,
Biednych w śmiertelną zwabiają ponętę“.

Na szczęście rym ten pochodzi z owych dawnych czasów, gdzie nawet ustawy i patenta (w Austryi z dnia 13 kwietnia 1786), wyraźnie pozwalały na takie barbarzyńskie tępienie zwierzyny, bo dziś wątpię, aby pośród innych wyobrażeń społeczeństwa i postanowienia §. 2 ustawy z dnia 30 stycznia 1875 r., znalazł się natchniony piewca tej wstręt wzbudzającej czynności.

Towarzystwo łowieckie jakoteż i wszyscy prawdziwi przyjaciele przyrody powinniby nad tem wspólnemi siłami pracować, aby praktykę u nas w kraju dotąd jeszcze powszechną, łowienia ptactwa w sidła, w sposób właściwy poskramiano. Zda mi się, że nie przesadzę, gdy powiem, iż dwie trzecie części ptactwa błotnego, przychodzącego na targi, pochodzi ze sideł, a wykonujący tę praktykę kłusownicy podwójnie naruszają ustawę, bo zastawiają sidła na cudzych gruntach. Czas zatem pomyśleć nad usunięciem złego, gdyż ustawa niewykonywana kompromituje tylko władzę i wprost negatywne wydaje następstwa.

W niniejszej pracy, którą już może nadwerężyłem cierpliwość łaskawego czytelnika, omawiając na pozór rzeczy drobne, niechaj mnie wytłumaczy odwieczna prawda, iż kto w przyrodzie nie dostrzega drobnych rzeczy, ten nie zrozumie wielkiej a wspaniałej całości. Tylko na tej drodze wiek nasz z dniem każdym staje się moralnym Prometeuszem tajników przyrody, uginającym kornie czoło przed Stwórcą, w którym jest źródło wszelkich praw natury.

MARCINEK.

Na tle cudzych i swoich wspomnień

skreślił

ALEKSANDER UBYSZ.

— Żadnego ale — mówił młody i hoży pan Sylwery — musi mi pan zrobić tę przyjemność i pojechać ze mną do mojej babci.

— Ależ nie mam z sobą stosownego ubrania — odpowiedziałem.

— Nic nie szkodzi, babcia niedowidzi i dobrze niedosłyszy, przytem liczy lat 80. Zatem jutro, o ile można najraniej, wyjedziemy, bo mil 12 ujechać na jednym krótkim zimowym dniu, nie łatwa sztuka.

Nazajutrz około siódmej godziny rano jawiłem się przed domem, w którym mieszkał p. Sylwery. Przed domem stały już sanie w cztery konie zaprzężone. Otaczał je rój gawiedzi miejskiej, przeważnie z kucharek i terminatorów złożony, a głośno czyniący swe uwagi i domysły co do ekwipażu a względnie sani.

— To jakiś książę tatarski aż z Syberyi przyjechał temi saniami do Lwowa — mówił jakiś lokaj.

— A może menażerya? — dorzucił szewczyk.

W istocie z budowy wehikułu — a podobnego nigdy w życiu nie widziałem — różnie o nim sądzić było można. Wyobraźmy sobie budę dość wysoką, w kształcie kufra, skórą powleczoną i osadzoną na długich połozach. Po obu bokach znajdowały się dość szerokie, do połowy oszklone drzwiczki. Cały wehikuł pomalowany był ciemno-zieloną farbą. Wyznam otwarcie, że i ja na widok podobnego cudaka, śmiechu powstrzymać nie mogłem.

P. Sylwery domyślił się snać przyczyny mojego wesołego usposobienia, bo go to nieco zawstydziło i zaraz na wstępie począł mi perswadować:

— Sanie, co prawda, oryginalne, lecz za to podróż niemi nader wygodna. Kochana babcia — dodał z pewnem rozrzewnieniem — żebym się nie zaziębił, własne sanie po mnie wyprawiła.

Na środku pokoju leżał ogromny „tłumok“. Nie ma już tych poczciwych towarzyszy podróży. Pakowano weń rzeczy p. Sylwerego i nieliczne moje „utensilia“, które bez ceremonii z małej mojej walizki wybrał Fabian, stary lokaj, coś jako ochmistrz i intendent ze wsi przybyły.

Fabian, od bardzo wczesnej młodości lokaj w domu babki p. Sylwerego, mógł liczyć co najmniej lat 75 wieku. Słusznego wzrostu, przygarbiony i łysy, pokrywał braki przedniej części głowy niewielką ilością siwych włosów tylnej części głowy, zagartując je jak najstaranniej aż ku czołu. A gderał najwięcej na lwowskiego służącego p. Sylwerego. Co ten tylko do tłumoka wpakował, Fabian dobywał i po swojemu układał.

Ale skończona wreszcie mozolna praca; wsiadamy do sani i jedziemy.

— Czemuż stary Michał nie przyjechał?

— Bo — odrzekł Fabian — tydzień temu, jakeśmy go pochowali.

— Umarł! — zawołał z nieudanym żalem Sylwery. — Cóż mu było?

— Ot, uparł się ujeżdżać młode konie. Ja i Marcinek tłumaczymy, żeby tego nie robił, bo to już nie dla niego, ale... uparł się, konie go ponosiły, wywróciły sanie i same uciekły. Michał pół mili wracał pieszo do domu, zmęczył się, zachorował i umarł.

— A Marcinek?

— Ot, zawsze mu pusto w głowie, ino by latał ze strzelbą albo ptaki siecią łapał.

Marcinek, prawdopodobnie towarzysz zabaw Sylwerego, pustak pierwszej próby.

Słynny jenerał Kopeć, chyba że nie inszemi saniami przez stepy Syberyi do Polski powracał. Jego sanie wyścielone były futrami i pokryte budą. Niemniej i naszym nie brakło baranic i koców węgierskich. W dodatku wnętrze budy, od spodu po sam wierzch prawie, obite było skórami końskiemi, z zimowym włosem wyprawnemi. Toż pomimo dość ostrego mrozu, w budzie panowała zaducha i gorąco, że spociliśmy się jak w łaźni. Co chwila otwieraliśmy drzwiczki nie bez silnych protestów Fabiana. Fabian, mimo zaprosin z naszej strony, żeby się przy nas w budzie usadowił, nie czynił tego, mówiąc, że musi pilnować młodego woźnicę: „Bo to zwyczajnie młody, głupi, gotów wywrócić!“

— Ta pewnie, jak będziecie mną ciągle komenderować: hejta, wiśta!... Toć to raz nieboszczyk Michał wywalił samą panią i to w biały dzień, — a czemu? boście mu głowę zawracali.

— A co ty gapiu będziesz nieboszczyków z grobu wyruszał! Wreszcie ja mu nie przeszkadzałem.

— Aha, nie! Taście potem ze dwie niedziele do siebie nie gadali.

Śmieliśmy się serdecznie z tych gderań i odcinania się fornala.

— Ot, Mikołajów, tu będziemy popasać — zawyrokował Fabian.

I wnet wjechaliśmy z hałasem w sień tak zwanego „Lwowskiego hotelu“, który dzierżawił syn Izraela. Ufny w swą potęgę, zachował się, po zwyczaju, arogancko.

— Dziś sobota — rzekł Sylwery zakłopotany — u żydów nic nie dostanie, cóż jeść będziemy?

Wnet pojawił się Fabian z myszuresem, „sepecik“ do pokoju naszego wnosząc.

— Fabianie, dziś sobota, cóż jeść będziemy?

— Jakoś to będzie — odmruknął i wyniósł się.

„Sepecik“, — to nieistniejący już dziś kredens podróżny, w którym mieściły się nakrycia do stołu, flaszka z wódką, winem lub miodem, mieściła się tam kawa mielona, w późniejszych czasach herbata, zakąski i t. p. rzeczy.

Po jakiej półgodzinie zjawia się Fabian i dobywszy z sepecika, na klucz zamkniętego, talerze, serwetę i flaszkę z wyborną wódką, postawił na stole, który pokrył serwetą z sepecika wyjętą. Po chwili wyszedł i zjawił się znowu z miną tryumfującą, stawiając półmisek z pokrajanym w kawałki i odgrzanym kapłonem. Wesoły Sylwery, na widok ten, porwawszy w ramiona starego sługę, zmusił go pójść z nim w taniec.

— A teraz napijemy się wódeczki. Ja piję do pana, a pan w ręce Fabiana.

Któż jej nie pragnie przy naszym zmiennym i zimnym klimacie? Fabian sumiennie wychyliwszy kielich jałowcówki, bardzo dobrej od przeziębienia, ujęciem za kolana Sylwerego i mnie, podziękował za poczęstunek.

Czytelnik łatwo sobie wyobrazi, jak szło „pałaszowanie“ kapłona przez 23-letniego Sylwerego i 32-letniego podpisanego sługę.

Kapłon był tłusty a smaczny i wnet nas zasycił. Znowu zjawił się Fabian, niosąc dwie pełne szklanki wybornej kawy ze śmietanką.

Bodajto sługa dawnej daty.

Pogadanka nasza, sposobem pomykających sani, co chwila na inny wpadała przedmiot, a grubo płaskie mierzyny szparko ruszały naprzód.

— Ot, jużeśmy niedaleko domu — przemówił Fabian, z smacznej budząc się drzemki. — Czegóż lecisz jak waryat? — począł burczeć na furmana — trzymaj konie lejcami.

— Albož nie trzymam? Lejce naciągnięte, że choć smykiem po nich graj. „Jędza“ (klacz czwartlowa) z kasztanem rwą do domu, aż strach.

— Do lasu jakiegoś wjechaliśmy — przemówiłem.

— Nie, to jeden z dwunastu gajów, budynki nasze i dom mieszkalny otaczających. A każdy gaj, oprócz dzikiej drzewiny, inne posiada drzewa owocowe. Gaje i drzewa owocowe pradziad mój sadził. Co w nich zajęcy, a nawet sarn, wkrótce się pan przekonasz.

Nareszcie wjeżdżamy w bramę dworu. Wnet wyszło kilkoro sług ze światłem i wprowadzono nas do pokoju „panicza“, t. j. Sylwerego.

— Pani nie śpi jeszcze? — zapytał Sylwery.

— A nie, czeka paniczowego przyjazdu.

— To chyba pójdziemy do babci — rzekł do mnie.

— I owszem, jeśli to nie zrobi jej nieprzyjemności — odrzekłem.

Prawdziwie staroświecki dom. Mnóstwo przeszedłszy pokoików i sionek, znaleźliśmy się na tak zwanej sali. Wnętrze jej oświetlał blask dwu świec i sutego ognia, gorejącego na kominku, w pobliżu którego stał niewielki stoliczek, a przy nim dwie siedziały osoby: kobieta o białym włosie w dużym fotelu i snać dobrze niemłody, bo szpakowaty jegomość. Grali w maryasza, bo to jedna to druga grająca osoba wygłaszała maryasze, lub: dwadzieścia *czerwieni*, *dzwonki*, *wina* lub czterdziestkę *żołędną*, która była atutem.

— A widzisz Marcinku? dublę ci wlepiłam.

Tu podszedł Sylwery, i ukląknąwszy przed babką, począł całować ręce jej i kolana.

— Ach, dziecko ty moje — przemówiła staruszka — tak dawno cię nie widziałam. Jak się ma tatko, mama, Staś, Reginka i Marynia?

— Ojciec zdrów, lecz mama niedomaga, dla tego nie mogła być u babci na święta Bożego Narodzenia. Wreszcie wszyscy zdrowi.

Z zachwytem przyglądałem się tej rodzinnej scenie. Po chwili przystąpił do mnie Sylwery i ująwszy pod ramię, przedstawił staruszce.

— Przyjaciel mojego wnuka miłym mi jest gościem — przemówiła staruszka drżącym lecz miłym głosem.

— Pan Marcin Przełaj, a raczej nasz poczciwy Marcinek.

Więc to jest ów Marcinek, którego młodym a w dodatku wisusem sobie wyobrażałem? Serdecznie uścisnąłem jego dłoń.

Niebawem podano wieczerzę. Ja i Sylwery, podawszy ramiona staruszce, wolniutkim krokiem odprowadziliśmy ją do sali, która była zarazem i jadalnią. Zasiedliśmy do stołu, oprócz nas trojga i Marcinek — oraz panna Przecława.

Że była panną, poznałem na pierwszy rzut oka, mimo jej szronem przyprószonych a z pretensyą utrefionych włosów. Nie więcej nad lat sześćdziesiąt mieć musiała, mimo to, jeśli się zapomniała, kiwała w takt główką, co zwykle wysocy starcy czynić zwykli. Snać wiedziała o tem panna Przecława, że żywem, sztucznem poruszeniem głową, uda się na pewien czas zamaskować zdradliwego świadka. Toż bezprzestannie czyniła nienaturalne te ruchy głową i swoją wychudłą kibicią, niekiedy czułe rzucając spojrzenia na siedzącego przy niej Marcinka. Sylwery rozmawiał z babką, a ja z Marcinkiem.

Teraz dopiero dobrze mu się przypatrzyłem. Twarz, mimo lat sześćdziesięciu i dobrze szpakowatej głowy, jaśniała zdrowiem i jakąś wewnętrzną pogodą duszy. Toż bardzo mało było na niej zmarszczków — a co najdziwniejsza, suty wąs i brwi były czarne, jak heban. Ubrany był

w siwą, mieszczańskim krojem kapotę z czarnemi potrzebami. Sukno kapoty było grube, za to bielizna cienka i śnieżnej białości.

O różnych rzeczach mówiliśmy, najwięcej o gospodarstwie. We wszystkiem okazywał ten dziwny Marcinek obszerne wiadomości, nietylko praktyką nabyte. Wyznam otwarcie, że chwycił mię za serce.

Ale i Sylwery przerwał rozmowę z babką, bo — jak mówiono — po zwyczaju poczęła wpadać w drzemkę przy wieczerzy, a poznawano to po czem raz powolniejszem, jakby przeczącem kiwaniu głową. Stanowiło to pewien rodzaj kontrastu pomiędzy nią a panną Przecławą, której kiwanie było znów potakującem. Panna Przecława od lat dwudziestu była panną „respektową", czyli mówiąc po tegoczesnemu, towarzyszką staruszki.

Gdyśmy się obaj cichaczem wynieśli do naszego pokoju, rzekł Sylwery:

— Ten poczciwy Marcinek, to istny duch opiekuńczy kochanej mojej babki. Oprócz, że znakomicie całym rządzi majątkiem, w dodatku najwierniejszy i najpowolniejszy jej sługa osobisty. Wie pan, że tak zdrzemniętą zawozi ją na fotelu w kółka opatrzonym aż do jej sypialni, gdzie ją dopiero jakby dziecię małe rozbierają i spać układają.

Po chwili nadszedł Marcinek. Podsuwając mu tytoń cygaretowy, prosiłem, żeby zapalił. Odmówił, wyjaśniając, że z umysłu nie przyzwyczajał się do tytoniu, bo złota pani nasza nie znosi dymu tytuniowego, a jak wiadomo, usta i suknie przechodzą jego wonią.

— To może tabaczki? — napomknąłem.

— O! co tej, to nigdy — zawołał Marcinek z uśmiechem. — Sylwerek, który prawie się u nas wychował, zjeżdżał wraz z dodanym przez ojca jego mentorem czy ochmistrzem, który namiętnie zażywał tabakę. Był to jakiś niedoszły teolog. Spokojne i dobre człeczysko, był jednak nieznośnym dla swej zbytniej powolności i nadmiernego zażywania tabaki. My znosiliśmy to jakoś, lecz dla pani stało się to w końcu niedozniesienia. Obecność jego w pokoju, niby tchórza w kurniku, po nieznośnej woni poznać było można. Pani wymogła w końcu na zięciu, że odwołał wonnego pedagoga.

— A pamiętasz Marcinku — rzekł Sylwery — jak go raz na konia wysadziliśmy? Konisko było stare, spokojne, gdy jednak widziało, że w galop pomknęliśmy. począł sobie także podrygiwać. Ochmistrz mój, objąwszy szyję nieskorego bieguna, począł krzyczeć w niebogłosy, w końcu runął na środku drogi. A owo polowanie na zające? Jakto on molestował nas, żeby do strzelby jego nie dawano śrutu — bo słyszał o wielu wypadkach postrzelenia się własną strzelbą? A z jakim on wstrętem, niby djabeł krzyż, brał strzelbę w rękę? Postawiliśmy go raz u skraja jednego z gaików. Stary, powolny gończak począł bąkać, wpadłszy na trop zająca. Dziwne... na nikogo zając nie wyszedł jeszcze, a w stronie gdzie stał mój ochmistrz, co chwila buch! i buch! Po dość udałem polowaniu naszem — bo trzeba panu wiedzieć, że w gaikach, których jest dwanaście, mnóstwo zajęcy i sarn — pytamy niedoszłego księdza, do czego tak strzelał? „Jakto do czego, odpowiedział ze zdziwieniem, przecież na to polowanie, żeby strzelać". Uśmieliśmy się serdecznie, nawet babcię to rozweseliło.

— Był też z ciebie Sylwerku wisus nielada — rzekł, śmiejąc się Marcinek.

— A kto ustawił trupią głowę z wydrążonej dyni, na tyce okrytej prześcieradłem?

— A jakimże sposobem odstraszyć było pannę Przecławę od wędrówek przy księżycu, a głównie od trelów przy akompaniamencie gitary? Śpiewem swoim płoszyła psy podwórzowe, że szczekały i wyły, babci spać nie dając. Ale dość już pogadanki na dziś; panowie zdrożeni, zatem dobranoc.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KORESPONDENCYE.

Chorostków, w lutym 1890.

(Stosunki łowieckie).

Mamy tu rok rocznie wilki i dosyć ich bywa. I tak, od roku 1886 do stycznia 1890 padło w rewirze Postołowskim 18 wilków, a mianowicie 7 suk i 11 psów. Prawdziwym pogromcą wilków jest nadleśniczy lasów postołowskich. W doły złapał dwa basiory, ale oprócz wilków, łapią się w doły także i dziki, przynęcone mięsem końskiem, dla wilków podrzucanem. W ostatnim roku złapało się w ten sposób 9 dzików, a z tych trzy warchlaki chowają się w zwierzyńcu.

Stan sarn, dawniej bardzo skromny, dziś jest prawie świetny; dawniej na polowaniu nie padło więcej, jak 1 do 3 rogaczy. dziś pada 30 i więcej. Przed rokiem w jednym miocie padło 13 rogaczy, a dwa postrzelone znaleziono drugiego dnia. Stan sarn byłby daleko piękniejszy, gdyby nie sąsiedztwo dalsze, które tępi zwierzynę bez miłosierdzia i bez względu na płeć.

Teren rewiru Postołówki jest pagórkowaty, jak wogóle całe Miodobory, tak galicyjskie jak rosyjskie; przedziela je Zbrucz. Miodobory po stronie rosyjskiej należą do klucza Satanowskiego, własności Józefa hr. Potockiego, gdzie również wszelka zwierzyna jest starannie pielęgnowana. Niestety jednak, wilki tam ogromne szkody wyrządzają; gdy jednak przejdą Zbrucz a zalegną w rewirze Postołowskim, Horodnickim lub Rasztowieckim, pewnie zasłużona spotka je kara.

Dzików gniazdowych w Miodoborach galicyjskich bardzo mało; przychodzą one dopiero w zimie z za Zbrucza. Pomiędzy niemi są dziki krase i białe z czarnemi płatkami; takich ubito już kilkanaście. Ubarwienie to pochodzi z połączenia się z lochami swojskiemi, pasącemi się w lasach po tamtej stronie Zbrucza.

Przelot słonek był ubiegłego roku wyjątkowo lepszy, jak lat innych, jakkolwiek nigdy mniej niż 80 do 100 sztuk nie padło rocznie. Polowanie wogóle, a specyalnie na słonki, utrudnione z powodu odległości rewiru Postołówki od Chorostkowa.

Zające mało w Miodoborach. Tłumaczy się to tem, że zając lubi bliskość pól ornych, czego w rozległych kniejach

Miodoborskich nie ma, gdy lasy odgraniczone od pól ornych z jednej strony rzeką Tojną, z drugiej Zbruczem, dopiero więc po zamarznięciu rzeki ściągają się do lasu w małej ilości. Miejscowego zająca leśnego mało.

Kuropatw bardzo mało, w czystem polu siedzieć nie lubią, a remiz jeszcze nie wiele.

Bażantów w tym roku ubito bardzo mało, a wylęgło się również nie wiele, — gdyż skutkiem wielkiej posuchy nadto twardniała skorupa jaja i pisklę z niego przebić się nie mogło. Może to kto inaczej wytłumaczy, ja jednak przyszedłem do takiego wniosku, tem bardziej, że każda prawie kura siedziała na jajach.

Dropi wyjątkowo było bardzo mało w ubiegłym roku. Trudne to i niewdzięczne polowanie. Nadzwyczajna ostrożność i odległość, z której się dropie podrywają, uniemożliwiają wszelkie myśliwskie wybiegi do podejścia lub napędzenia tych dzikich ptaków na myśliwego. Przed dwoma laty widywałem na rozległych stepach Chorostkowskich po 60—70 sztuk w jednem stadzie, a trudno je było podejść; zdaje mi się, że chyba z mitrailezą możnaby na nie polować ze skutkiem.

Na zakończenie wypada mi coś o szkodniku mykicie powiedzieć. Otóż w lasach tutejszych kryją się lisy w skałach, których w rewirze Postołowskim bardzo wiele. Te ich zamki łowieckie są nie do zdobycia; podziemne lochy są tam bardzo rozległe a szczeliny bardzo wązkie, tak, że większy trochę jamnik przez nie się nie przeciśnie, a co gorsza, czasem się zdarza, że wcisnąwszy się do takiej jamy, już nigdy na powierzchnię nie wyłazi, albo więc ginie zbłąkany, lub trafić nie może na szersze przejście, albo też gryząc się z większą ilością lisów, ginie śmiercią walecznych. To ostatnie przypuszczenie zdaje mi się najprawdopodobniejsze.

Na obszarach Chorostkowskich spotyka się często lisa stepowego. Ten lasu prawie nie zna, a jama jego najczęściej nie rozległa. Przybyszom tym rozgościć się tu nie dajemy, i co roku kilkanaście lub więcej wytępiamy za pomocą zajadłych niesłychanie angielskich jamników.

Zeszłoroczne nasze zapiski, począwszy od 1 grudnia 1888 do 1 grudnia 1889, wykazują następujący rezultat łowów: słonek 291 (84 na wiosnę, 207 w jesieni), zajęcy 147, rogaczów 31, dzików 19 (z tych 9 złapanych), wilków 7, lisów 27, dropi 2, borsuk 1. *A. Zbyszewski.*

Łukawiec, dnia 12 lutego 1890.

(Z łowów. — Twardy żywot wilka).

W dniach 23, 24, 25 i 27 stycznia b. r. polowaliśmy w cztery strzelby w Rożdżałowie, majętności Alberta hr. Cetnera, i ubiliśmy 40 zajęcy, 7 lisów, 8 rogaczy i 4 dziki. Zauważyć muszę, iż braliśmy co dnia pierwsze mioty na dziki, które strzelone lub ruszone w jednym miocie, obcinaliśmy w dalszych miotach na nowo, tak, że dopiero dobrze z południa braliśmy po kilka miotów na drobną zwierzynę.

Dzików było bardzo dużo, bo pierwszego dnia Sirko, objezdnik, zameldował nam przeszło 30 sztuk w dwóch rewirach. Źle się jednak do nich strzelało, tak, iż na 24 strzałów, danych do dzików, mieliśmy po skończonych łowach 4 tylko sztuki na rozkładzie, a mogliśmy mieć osiem do dziesięciu. Złe było też bardzo pole, zwłaszcza w dwóch dniach, bo śnieg, który dniem przedtem tajał, w nocy przymarzł i zrobiło się pole tak ostre, że w małych miotach nie można było dzików obciąć, a za mało nas było, aby większe mioty należycie obstawić. Mieliśmy więc tylko miłą senzacyę dzików w miocie, które wszyscy widzieli, ale które nikomu na strzał nie wyszły.

Dla tej samej przyczyny zabiliśmy mniej rogaczy, niż paść było powinno, gdyż przy ostrem polu stadka całe sarn tak się z sąsiednich miotów wynosiły, że tylko rzadkie wyjątki na strzelców wygonić się udało. Zresztą i wilki, które ciągle w tamtejszych stronach się uganiają, wpłynęły na zmniejszenie się stanu sarn.

Lisy też obronną ręką wyszły, bo chociaż jest ich w Rożdżałowskich lasach bardzo dużo, przecież tylko 7 ubiliśmy, a nie więcej, jak dwa było chybionych.

Nie wiem, czy dla wrodzonego sprytu, czy dla lisiego szczęścia, dość, że najwięcej ich było zawsze w tych miotach, gdzie dziki obcinano. Oczywiście więc, że mykity jeszcze przed dzikami na linii nam się ukazywały i niestrzelane uchodziły. Ja sam przepuścić musiałem trzy lisy, a naliczyłem 12 niestrzelanych. Oryginalny był szczególnie jeden taki wypadek, który tu chcę opisać.

Bierzemy miot na dziki, i oczywiście pierwszy strzał do dzików, więc stoimy ze sztućcami w ręku. Ledwo nagonka ruszyła, wychodzi mykita na linię między hr. Cetnerem a p. Antonim Garapichem, siada na linii jak pies i kończy swoją toaletę, którą mu zapewne przerwano. Po chwili idzie noga za nogą wzdłuż linii do p. Garapicha, dochodzi do nóg prawie myśliwemu i wtedy dopiero umyka całkiem pomału i spokojnie nazad w miot, z którego wyszedł. Czyżby lis ten wiedział, że wobec stada dzików jest nietykalnym?

Duża bardzo locha, w tym miocie zabita, była nagrodą za lisie kpiny!

Widzieliśmy też jarząbki i cietrzewie; nie strzelaliśmy do nich wprawdzie, ale oko myśliwego miało swą rozkosz.

Dnia 26 była niedziela. Rozpoczęliśmy ją wysłuchaniem Mszy świętej w nowo wymurowanej, bardzo pięknej cerkwi miejscowej. Po śniadaniu mieliśmy zwiedzać folwarki i stadninę koni arabskich, które gospodarz z zamiłowaniem hoduje. Ledwie jednakże opuściliśmy świątynię, staje przed nami Sirko, objezdnik i melduje, że w rewirze Korczyńskim obciął wilka w małym, i jak się wyraził, bardzo dobrym miocie. Kazać zaprządz 8 fornalek, zwołać kilkunastu naganiaczy, zebrać się samym i wraz z nagonką wyciągniętym kłusem wpaść do lasu, prawie o milę odległego — było dziełem jednej chwili.

Wnet staliśmy na stanowiskach, nagonka ruszyła, i w tejże prawie chwili wyszedł wilk, duży i objedzony pies, na hr. Cetnera, który go też pierwszym strzałem zrulował. Niestety, strzał, choć trafny, nie był śmiertelny; wilk mógł się podnieść i wrócił w miot. Raz jeszcze wyszedł na linię między leśniczym i mną, ale głośne kłapnięcie leśniczego zniewoliło go do rzucenia się w bok, i tam miejscowy urzędnik po raz drugi powalił go na ziemię. Wilk jednakowoż i tym razem jeszcze mógł wstać, pozostawiając na miejscu, gdzie został trafiony, kał. Kilka razy jeszcze w tym dniu obcinaliśmy tego wilka, ale wlókł się postrzelony z miotu w miot, i wreszcie, nie zalegając nigdzie, wszedł w sąsiednie lasy Poturzyckie, gdzie go niechybnie nieżywego już znaleźć musiano.

Jest to właśnie specyalnością Rożdżałowskiej kniei, że spotkać się w niej możesz z wszystkimi rodzajami zwierzyny łownej, a nigdy nie wiesz, jaką ci niespodziankę Diana gotuje. W jednym dniu strzelić możesz do wilka, dzika, lisa, rogacza, szaraka, cietrzewia lub jarząbka — a miotu prawie nie ma, żeby oko prawdziwego myśliwego

nie napawało się widokiem zwierzyny, która, choć nie zawsze na strzał wyjdzie, to przynajmniej się pokaże i uwagę myśliwego do siebie przykuje. Dodać do tego potrzeba nadzwyczajne urządzenie lasu, które dozwala w jednej chwili znakomitą fornalką tamtejszą przenieść się liniami, jak gościńce utrzymanemi, z jednego końca kniei w drugi za tropionym zwierzem, nakoniec spryt i genialność łowiecką tamtejszego objezdnika, Iwana Sirki, który z prostego kłusownika przekształcił się pod żelazną ale miłosierną ręką hr. Cetnera — na znakomitego tropiciela i dowódcę niezrównanej nagonki — a łatwo każdy pojmie, że polowanie Rożdżałowskie uważam za jedno z najpiękniejszych, w jakich mam sposobność brać udział, i kilka dni w Rożdżałowie spędzonych prawdziwą biesiadą łowiecką nazywam.

Włodzimierz Garapich
delegat Towarzystwa łowieckiego.

Z pod Cieszanowa, w lutym 1890.

(Stosunki łowieckie. — Rogacz o trzech badylach).

Okolica nasza przedstawia ogółem smutny zwierzostan, do niedawna bowiem kwitło tu kłusownictwo w pełni. Dzięki jednak powiatowemu komisarzowi c. k. starostwa, który jako sam myśliwy, nie dopuszczał znanych kłusowników lub tychże podstawionych zastępców do dzierżaw polowań gminnych — zaczyna być lepiej. Ceny polowań gminnych, mimo wykluczenia kłusowników, poszły znacznie w górę, gdyż inteligencya miejscowa stanęła zwartym szeregiem, i brała chociażby dalsze i nieprzyległe polowania, byle tylko nie dopuścić tych, którzy, dzierzawiąc pewne terytoryum, uważają je za punkt strategiczny do wycieczek kłusowniczych i dokuczenia właścicielowi większych obszarów łowieckich.

Przy tej sposobności nadmienię o następującym wypadku: Przełożony pewnej gminy udał się do mnie z prośbą, aby chociaż za niższą cenę wziąć w drodze pozalicytacyjnej gminne polowanie, a zapytany dlaczego to czyni, odpowiedział: „Panowie, gdy biorą polowanie, to nie tałabią po zagonach naszych, a ci Szwabi (koloniści) drepcą przeważnie po nocach, bez względu co jest na polu, byle zasiąść pod pańskim lasem i wybijać sarny i zające... Mybyśmy darowali cały dochód z tego polowania, byle nam nie łazili“.

Podobne rezonowanie chłopa jest bardzo słuszne i uzasadnione, a w przebiegu licytacyi tem udowodnione, że polowania gminne obok rewirów, jak księcia Władysława Sapiehy i państwa Lubaczowskiego hr. Gołuchowskich, gdzie zwierzostan świetnym nazwać można, poszły w cenie nadspodziewanie w górę, widać wiąc, że tam na nocnych zasiadkach można się było obławiać. Ile zaś na tych polowaniach na zasiadkę przy świetle księżyca zabije się lub pokaleczy kóz, o tem może sobie zrobić wyobrażenie każdy myśliwy.

Najgorszy stan zwierzyny jest tu w majątkach, gdzie właściciel sam nie jest myśliwym. Poluje tam, kto tylko zapragnie, a najwięcej niesumienna straż lasowa, która zapewne widzi w tem rodzaj powiększenia dochodów i intratę, jako jej się należącą. Naturalnie, że o przestrzeganiu ustawy łowieckiej w takich warunkach i mowy być nie może, bo któż dopilnuje jej wykonania, kto ją wykona?

W dniu 22 stycznia, na polowaniu w rewirze Opaka, państwa Lubaczowskiego, ubito w dwanaście strzelb 1 rogacza, 5 lisów i 29 zajęcy, na co dano ogółem 120 strzałów. Jeden rogacz i parę lisów uszło, mocno farbując. Stan sarn, mimo tak małego rezultatu, świetnym nazwać można; w każdym miocie było ich po kilka lub kilkanaście, a najczęściej, mimo wzorowo prowadzonej nagonki, uchodziły albo wracając na nagonkę lub na flanki. W trzecim miocie padło 50 strzałów, i gdyby lepiej strzelano, byłoby się znalazło na rozkładzie drugie tyle. Zabity rogacz, silna bardzo sztuka, był o trzech badylach; lewy tylny o jakie 4 cale nad raciczką zupełnie odcięty. Mimo to, podczas ruchu, nie było można zauważyć braku; szedł szybko, swobodnie, a kłodę, którą właśnie przedemną przesadził, wziął świetnie i z gracyą.

W państwie Cieszanowskiem, w czasie od 1 września 1889 r. do końca stycznia 1890 r., ubito 17 rogaczy, 32 zajęcy, 18 przepiórek, 91 chruścieli, 17 dubeltów, 41 kszyków, 11 kaczek, 12 sztuk ptactwa wodnego, 37 paszkotów; z szkodliwej zwierzyny i innych: 7 lisów, 1 borsuka, 3 koty, 12 psów, 3 jastrzębie, 17 innego ptactwa — ogółem 319 sztuk.

L. D., delegat.

Hadle, 14 lutego 1890.

(Z polowań podolskich. — Dzik sforsowany).

W styczniu r. b. wziąłem udział w kilku polowaniach na Podolu, i podaję ich rezultaty:

W Myszkowie u p. M. Kęplicza padło 52 zajęcy, 3 rogacze i 2 lisy.

W Kolendzianach u p. K. Horodyskiego padło 50 zajęcy, 3 rogacze i 3 lisy.

W Jazłowcu i Nowosiółce u br. M. Błażowskiego padło 40 zajęcy, 6 rogaczy i 4 lisy.

W Jabłonowie u księżnej Czartoryskiej padło 57 zajęcy, 15 rogaczy, 2 dziki i 2 lisy.

Knieje Nowosiółki i Myszkowa są bardzo do siebie podobne; pierwsza położona nad Strypą druga nad Seretem, mają teren garbaty, skalisty, dla zwierzostanu jednak bardzo korzystny, który też przy umiejętnej gospodarce ciągle się podnosi. Lasy znów Kolendziańskie i Jabłonowskie mają, jak większość lasów na Podolu, położenie równe, których drzewostan stanowią przeważnie grabina i dębina, z czem znowu w związku stoi znaczna ilość dzików, które te lasy stale zamieszkują.

Muszę tu donieść o nadzwyczaj zimnej krwi i ładnych strzałach młodego p. H. z Kolendzian. Korzystając z ponowy, wyjechał sam do lasu z drylingiem. Natrafiwszy na świeży trop dzików, wysiadł z sani i poszedł za niemi w las. Ponieważ zaś spodziewał się dojść wkrótce do barłogu, nabija ekspresa jednym ładunkiem, drugi bierze w zęby, a trzeci między palce lewej ręki. Gdy tak ostrożnie postępuje, porywają się dziki na odległość 20 kroków. Młody myśliwy strzela raz z ekspresa, nabija drugi ładunek, strzela — nabija trzeci, strzela znowu i trzy dziki kładzie na miejscu. Rzadki to dowód nadzwyczajnej zręczności, której niejeden myśliwy pozazdrościć może. Nadmienić tu muszę, że oglądałem te dziki — wszystkie były doskonale w komorę strzelone.

Kiedy mowa o dzikach, nie mogę zamilczeć o zabawnem zdarzeniu, które miał p. K. w Wierzbiatynie. W pierwszych dniach stycznia b. r. wyjechał p. K. do lasu saneczkami ze sztućcem, w celu przywiezienia rogacza. Ubiwszy go, wraca do domu, gdy w tem zobaczył ślad dzika, bardzo rzadkiego w owych lasach gościa. Ujechawszy nieco za śladem, spostrzegł rzeczywiście ryjącego dzika. Chociaż odległość była znaczna, p. K. strzela, a dzik, lekko tylko draśnięty, począł uciekać. Las był niewielki, więc dzik wyniósł się rychło z niego, ale tymczasem p. K., wyjechawszy na pole, zaczął dzika dojeżdżać. Dodać tu trzeba, że nie miał z sobą nikogo, i sam końmi powoził. Zmęczonego dzika,

dawszy mu kilka obrotów, zapędza do wsi. Dzik wpada do chłopskiej zagrody, ale wrota zamknięte, w które wsunąwszy się połową korpusu, nie może się ruszyć w żadną stronę. Pan K. bojąc się strzelić, bo drzwi chaty były na prost, przytem konie stać nie chciały, krzyczy, aby kto wyszedł, zanim jednak chłop się pokazał, dzik wyrwał się i uciekł znowu w pole. Po parogodzinnej gonitwie, gdy już dzik się zmęczył i konie ustały, zrozpaczony dzik postanowił bądź co bądź uwolnić się od swego prześladowcy. Stanąwszy tedy w odległości 80 kroków, przypuścił szturm wprost na sanki. Tego trzeba było tylko p. K.; złożywszy się spokojnie, celnym strzałem położył go na miejscu.

Piotr Łastowiecki.

Złotniki ad Pantalicha w styczniu 1890.

(Do zmiany ustawy łowieckiej.)

Korzystając z wezwania „Łowca“ do dyskusyi nad projektem ustawy łowieckiej, pozwolę sobie z naszego zakątka stepowego poczynić niektóre uwagi, tyczące się wydziałowego projektu ustawy łowieckiej. I tak: Dział IV. a §. 31, traktujący o ochronie zwierzyny użytkowej, brzmi, że nie wolno łowić lub zabijać kuropatwy od 1. stycznia do 15. sierpnia.

Przedewszystkiem kuropatwa zasługuje niewątpliwie dla każdego miłośnika polowania na uwzględnienie, i należałoby ją bardziej chronić, niż to przytoczony paragraf ustanawia. W dość częstych wypadkach zdarza się myśliwym uczynić spostrzeżenie, że młode kuropatwy zaledwie w połowie sierpnia są lotne, a jednak wedle projektowanej ustawy, wolno byłoby je łowić lub zabijać, w ogóle polować na nie. Z drugiej zaś strony 1. styczeń, z którym to dniem kończy się czas łowienia i zabijania kuropatw, jest rzeczywiście aż nadto dostateczny do polowania na te biedne kuraki. Chciejmy zarazem zważyć, że dość często trafia się, że już z początkiem grudnia ziemia zamarza, jakkolwiek oziminy czasami jeszcze nie są śniegiem okryte, a więc zaczyna się już niedola kuropatwy; są jednak dość częste jesienie, w których z początkiem grudnia biały całun okrywa ziemię, a wtedy ta biedna kuropatwa nietylko, że często walczy z głodem i chłodem, ale nadto prześladują ją różnorodne wrogi, to w powietrzu szybujące lub po ziemi kroczące, a przy zawiejach śnieżnych, zmuszona głodem, naraża się na wytępienie od różnego rodzaju przynęt i sidełek naszych pokątnych myśliwców, przed którymi ustrzedz się jest niemożebnością, a co najmniej, bardzo trudno.

Wiadomo też niestety ogólnie, jak to owi pokątni myśliwcy wyzyskują dla swoich celów czas ochrony kuropatwy — choćby nawet przez całą długą zimę. W zachodniej części kraju, zkąd relacye nadchodzą o pomyślniejszym stanie kuropatw, są stosunki odmienne, a być może, że wyrobią się one i u nas z czasem przy połączonych siłach. Każda ustawa zdąża do wytworzenia pewnego porządku, tem samem i lepszego stanu zwierzyny, a chociaż nie mam zamiaru twierdzić, że skutkiem w mowie będącej ustawy, kuropatwy narażone być mogą na umniejszenie, jednakowoż wypowiadam zdanie, że stan kuropatw przez tak małą zmianę dotychczasowej ustawy, najzupełniej się nie podniesie. Dla tego też byłoby wielce pożądanem gdyby kompetentne sfery zmieniły czas ochrony dla kuropatw od 1. grudnia do 1. września.

Dział IV. a §. 37 tej samej ustawy projektuje między innymi, że: nie wolno puszczać psów samopas na obszary myśliwskie w odległości 300 metrów po za obręb zabudowań mieszkalnych inaczej jak z zawieszonym klocem na karku. Psy, goniące lub tropiące zwierzynę po za obrębem wyżej oznaczonym, bez dozoru i przyrządu utrudniającego gonienie, ma prawo użytkujący z polowania na swoim obszarze zabijać. Toż samo prawo służy mu co do kotów.

Otóż treść całego tego paragrafu zdaje mi się nie dość jasną, a rozbierając ją krytycznie wynika, że psy, zaopatrzone zawieszonym klocem drewnianym na karku, mogą po polach lub lasach biegać — jako zaasekurowane już klockiem na karku. Czyż — pytam się. pies choćby nawet z klockiem — żadnej już szkody w zwierzostanie nie wyrządzi, szczególnie zaś w czasie lęgu i rzutu? Jeżeli więc pies bez dozoru choćby nie tropił lub gonił zwierzyny — „jednak z klocem na karku“ — chodzi po obszarze myśliwskim, toż wedle brzmienia tego paragrafu nie wolno go zabijać, bo pies ten ani tropi ani goni, lecz ot tak łazi sobie po polu, zaopatrzony „klocem na karku“, który życie salwuje. Otóż np. przed dwoma dniami widziałem, jak pies chodził po zaroślach lasowych, lecz ani tropił ani gonił, tylko często z zadowolnieniem ogonem wywijał i obwąchiwał przy korzeniach zarośla. Każdy mi przyzna, że pies ten nie po to biegał po zaroślach i obwąchiwał drzewka, aby się przekonać czy zwierzyna nie poczyniła w sadzonkach szkody, lecz chodził po to, aby gdy mu się co trafi, pogonić za tem. Tak więc gdyby projektowana ustawa miała moc obowiązującą, dalej zaś, gdyby pies wszedł w zarośla nie 300 lecz tylko 150 metrów od budynków oddalonych, gdyby w końcu, był nadto klocem na karku zaopatrzony, to w takim razie wedle brzmienia nowej ustawy łowieckiej, nie wolno byłoby tak chodzącego psa zabić — a jednak pies taki mnóstwo szkody porobić jest w stanie. Wypadki podobne byłyby istotnie dla właściciela prawa polowania na przyszłość uciążliwe i przykre. — Co do psów jest dalej w projekcie ustawy powiedziano, że „użytkujący“ z polowania ma prawo takowe na swoim obszarze zabijać, z czego wynika, że prawo to przysługiwać ma na przyszłość tylko użytkującemu z polowania, nie zaś jego straży lub dozorcom ku temu ustanowionym. Byłoby więc pożądane dla jasnego pojęcia, uzupełnić w stylizacyi paragraf ten po wyrazach użytkujący z polowania, dodatkiem „ straż lub dozorcy jego“.

Co się zaś tyczy kotów, to projektowany paragraf jest bardzo dla nich łaskawy, gdyż kot w obrębie mu dozwolonym, przypuśćmy 200 metrów od zabudowań mieszkalnych wyniszczy wszystko co tylko napotka. Czyż ma on bezkarnie królować w odległości choćby tylko 200 mtr. od zabudowań mieszkalnych? Powiem z doświadczenia tyle tylko, że tam gdzie kot chodził, myśliwy nie ma już się po co fatygować. Na koty, jako pierwszorzędnych kłusowników, wymagać koniecznie potrzeba środków stanowczych i radykalnych, a na tym punkcie byłbym bezwarunkowo nieubłaganym; do zdania tego przyłączy się niewątpliwie większość zwolenników św. Huberta z tem życzeniem, że kot po za obrębem zabudowań gospodarskich bez względu na jakąkolwiek odległość, powinien być przez użytkującego z polowania, albo straż lub dozorców przez niego ustanowionych, na swoim obszarze — bezwzględnie tępiony albo zabijany. Być jednak może, że ktoś stając w obronie kota powie: wszak kot potrzebny do wyłapywania myszy w domu i polu. Zgadzam się na to zdanie o tyle, że kot rzeczywiście niszczy myszy przy domu, w polu jednak nie łowi on myszy lecz poluje na ptactwo, młode zające i wszystko niszczy, co mu się pod ostre jego pazurki nawinie. W przeciwstawieniu szkód przez koty zrządzonych, zbyt mało pożytku one dla myślistwa przyno-

szą, tak samo i dla gospodarstwa rolnego, a na dowód przytoczę tę okoliczność, że zeszłej jesieni w której okolice tutejsze nawiedzone zostały klęską, że się tak wyrażę „myszową“, jakoś nie bardzo nas koty przed nią obroniły, choćby już na obszarze przylegającym bezpośrednio do budynków, a zasiewy tak samo tam zniszczone były. jak i na odległych obszarach. *D. B.*

Warszawa w styczniu 1890.

(Z Towarzystwa łowieckiego).

D. 17 stycznia wieczorem, w nowo urządzonym lokalu klubowym, odbyło się pierwsze ogólne zebranie zawiązanego w r. z. Towarzystwa łowieckiego. Udział był niezwykły, gdyż stawiło się przeszło stu członków. Obrady zagaił i prowadził prezes, jenerał Sidorow.

Pierwszy punkt porządku dziennego obejmował kwestję finansową z powodu urządzenia lokalu. Zadecydowano tu energicznie ściągać wkładki od członków, których przeszło trzecia część zalega, a nadto uchwalono, według wniosku p. Więckowskiego, aby członków zalegających cały rok, wykreślać, z możnością wszakże ponownego wpisania.

Następnie — i to było najgłówniejszym przedmiotem wczorajszego zebrania — przystąpiono do odczytania projektu nowej ustawy myśliwskiej, specjalnie dla Królestwa Polskiego opracowanej. Pułkownik Małychin, przedstawiając ten projekt, oświadczył, iż p. minister dóbr państwa zwrócił się do głównego Naczelnika kraju z zapytaniem: czy ustawa łowiecka, opracowana niedawno dla cesarstwa, może być zastosowana i do tutejszego kraju.

Dzięki objaśnieniu pułkown. Małychina nastąpiła odpowiedź, wyrażająca niemożliwość zastosowania ustawy z uwagi, iż gubernje Królestwa Polskiego tak pod względem zaludnienia, gęstości sieci kolei, odmiennych warunków posiadłości ziemskich, serwitutów i t. p., znajdują się w położeniu różnem od gubernij cesarstwa.

Opracowano więc ustawę specjalną.

Nowa ustawa w ogólnych zarysach przedstawia się, jak następuje:

Przedewszystkiem nie wolno urządzać polowań na przestrzeniach mniejszych od 300 morgów, a wydzierżawianie pól włościańskich, celem łączenia ich w większe terytorja, musi się odbywać drogą licytacyi, przyczem pierwszeństwo mają właściciele lasów przyległych oraz Towarzystwo łowieckie.

Zabrania się dzierżawić polowań: żydom, poddanym zagranicznym, strażnikom ziemskim, organistom i osobom, pozostającym pod śledztwem sądowem. Tylko te osoby, które posiadają świadectwa na prawo polowań, mogą otrzymywać pozwolenia na utrzymywanie broni myśliwskiej, a rok łowiecki winien się zaczynać od d. 13 marca, nie zaś jak obecnie według początku roku kalendarzowego.

Terminy polowań na wszelką zwierzynę zostały znacznie skrócone; między innemi, na zające będzie wolno polować tylko od 27 września (o miesiąc przeszło później, niż obecnie) do 13 lutego, a na kuropatwy zaledwie dwa miesiące, od 27 sierpnia do 27 października. W tym stosunku ograniczono łowy na inną zwierzynę. Nader ważny jest punkt, wedle którego straż leśna podległa Towarzystwu (każdy członek dla swojej straży otrzymuje taki przywilej), ma wagę przysięgłych t. j. że zaprzysiężone zeznanie takiego strażnika, bez względu, iż nie było świadków, dostatecznem będzie dla sądu do potępienia rabusia zwierzyny w zakresie kar do rs. 100.

Za nieprawne posiadanie broni *minimum* kary oznacza się rs. 5, *maximum* zaś rs. 50.

Celem położenia tamy urządzeniu pokątnych łowów w terminach niedozwolonych, ustawa orzeka, iż wszelkie opieczętowywanie zwierzyny w sklepach, na targach i restauracjach nie prowadzi do celu. Uchwalono więc wydać przepis, aby wszyscy przekupnie po 14 dniach, upłynionych od wstrzymania łowów na daną zwierzynę, w razie sprzedaży byli pociągani do odpowiedzialności prawnej.

Z żywem zadowoleniem i jednomyślną zgodą przyjęto na zebraniu tę nową ustawę, która w rozmaitych szczegółach nadałaby Towarzystwu ogromne przywileje, a tem samem może się przyczynić do poprawy zwierzostanu.

Z uwagi, że naczelnicy powiatów i straży ziemskiej, jako przedstawiciele władzy administracyjnej, najskuteczniej mogą działać dla celów Towarzystwa, uchwalono przesłać im nominacje na stałych członków bez wnoszenia opłaty.

Przyjętym został wniosek p. Kępińskiego, wedle którego ustanowionym ma być w Towarzystwie osobny wydział polowań.

Wniosek o wzmocnienie rady zarządzającej przez przybranie 10 członków z pomiędzy zamożniejszych i wpływowych obywateli ziemskich przeszedł jednomyślnością głosów.

Do wydziału polowań wybrani zostali następujący członkowie pp.: adwokat Więckowski, pułkownik Małychin, Juljan Biesiekierski, hr. Toll, Artur Śliwiński, Kossakowski, L. Szwede, Kulikowski i Jacuński.

Ponieważ wiele kwestyj nie zostało jeszcze załatwionych pomimo, iż posiedzenie skończyło się dopiero około pół do 2 po północy, uchwalono zwołać nadzwyczajne ogólne zgromadzenie w połowie przyszłego miesiąca. Do balotu na członków Towarzystwa zgłosiło się bardzo wiele osób.

K. W.

Sprawozdania łowieckie.

— W Niebyłowie, w lasach skarbowych, w których polowanie dzierżawi ks. Adam Sapieha, odbyło się w ostatnich dniach grudnia z. r. polowanie, któremu, jak zwykle, sam książę przewodniczył. Parę dni poświęcono wyłącznie rysiom, których atoli, z powodu wielkiej okiści na drzewach, niepodobna było wyprzeć na linię strzelców. Z tego też powodu padło tylko 17 dzików, — z tych dwa duże odyńce, kilka grubych samur, reszta warchlaki. Dalszy ciąg polowań odbył się w dniach od 16 do 25 stycznia, a tym razem były nieba łaskawsze. Polowano znów kilka dni na rysie wyłącznie; w jednym dniu padł ryś jeden, a w następnym z obtropionych czterech padły 2, trzeci zaś, postrzelony, wzięty został nazajutrz. Ogółem padło 4 rysie, — jeden uszedł chybiony, — dzików przeważnie grubszych ubito 22.

Prawdziwy tylko myśliwy potrafi ocenić podobny wynik. Ubito 4 rysie nie przypadkiem, ale umyślnie i wyłącznie na obtropione polując. Podobnym rezultatem poszczycić się może tylko myśliwy tej miary, co książę Adam Sapieha.

Niebywałym jest chyba wynik tego rodzaju, jak w Niebyłowie, gdzie w jednym sezonie w 15 dniach, i to w niesprzyjających wcale warunkach, ubito 64 dzików i 4 rysie, nie licząc drobnej zwierzyny, na którą polowano tylko jeden dzień, i to dlatego, aby zmęczonym psom dać wytchnienie.

— W rewirach Daszawskich, należących do pani Felicyi Sozańskiej, odbyło się w drugiej połowie stycznia b. r. pięciodniowe polowanie. Wziąwszy w rachunek ostatnie dwie srogie zimy, wynik można uważać za nader świetny; padło bowiem 15 dzików, 33 rogaczy, 17 lisów, 52 zajęcy i 2 jarząbki.

Zdaje mi się, że trafię w myśl moich kolegów w Hubercie, jeżeli tutaj złożę właścicielce serdeczne „Bóg zapłać“ za zgotowaną nam miłą rozrywkę i staropolską gościnność.

Juliusz Tarnowski.

— W Tartakowie, majątku hr. Zb. Lanckorońskiego, polowaliśmy dnia 27 stycznia b. r. Goniono tylko sześć miotów, w których padł 1 dz k, 1 lis, 7 rogaczy i 16 zajęcy. Na ten rezultat składało się 8 strzelb Były mioty, w których po kilkanaście sztuk sarn razem wychodziło na myśliwych. Podnoszę to dlatego, że gospodarz nie będąc sam myśliwym, przestrzega mimo to z całą gorliwością ustaw myśliwskich i ochrania swoją zwierzynę, czem jej stan znacznie zwiększa a gościom swoim prawdziwą sprawia przyjemność.

Tadeusz Starzyński.

— W dobrach Germakówka u hr. Władysława Baworowskiego odbyły się w dniach 24, 25, 27 i 28 stycznia b. r. polowania, na których padło w 7 strzelb 400 zajęcy, 5 dzików, 5 lisów i 3 rogacze. Dodać należy, że dnie te były łowom bardzo niesprzyjające, odwilż bowiem i deszcz wygnały wiele zwierza w pole.

Gospodarzowi powinszować można tak świetnego stanu zwierzyny. Polowanie szło znakomicie pod komendą dyrektora lasów p. Dobiasza i nadleśniczego w dobrach Germakowieckich, pana Mihlego.

I.

— W Wiązownicy, własności ks. Witołda Czartoryskiego, odbyło się w rewirze Monastery d. 22 stycznia b. r. polowanie w sześć strzelb na śniegu. Ubito 6 rogaczy, 51 zajęcy, lisa i jastrzębia. Polowanie prowadzono wzorowo. Że lis tylko jeden był w kniei — bo prócz tego co padł, żadnego innego nie widziano — zawdzięczyć należy tępieniu tych szkodników przez miejscowego p. nadleśniczego.

E. W.

— W dobrach Kabaty i Chojnowo, własności hrabiny Augustowej Potockiej, (w Król. polskiem), grono myśliwych, pomiędzy którymi był Ksawery hr. Branicki, polując w czternaście strzelb, ubiło na Kabatach 64 zające, 8 lisów i 1 kozła, w Chojnowie 34 zające, 2 lisy i 4 kozły.

KRONIKA.

Nad wystawą łowiecką w Wiedniu pracuje bez przerwy specyalna sekcya komitetu wystawy gospodarczo-leśnej pod przewodnictwem hrabiego Abensperg-Trauna. Sekcya ta postanowiła przeznaczyć na wystawę przedmiotów, spodziewanych z Galicyi za pośrednictwem gal. Towarzystwa łowieckiego, miejsce obejmujące około 210□ metrów ściennej, a 135□ metrów horyzontalnej przestrzeni, a to w zachodnim transepcie rotundy. Miejsce to w ten sposób jest rozdzielone, iż zapełnia w całości trzy obszerne kąty i ściany rzeczonego transeptu i dozwoli urządzić trzy oddzielne a przecież z sobą złączone i jedną całość polskiego łowiectwa stanowiące grupy.

W powszechnej wystawie krajowej styryjskiej, która odbędzie się w Gracu w czasie od 3 sierpnia do 4 października b. r., będzie również oddzielna grupa łowiectwa i rybactwa. W programie tej wystawy mieści się między innemi konkurs rogów jelenich, pochodzących od jeleni, które ubito po 1 września 1880 roku. W dniach 2, 3 i 4 września odbędzie się także międzynarodowa wystawa psów wszelkich ras, przyczem będą rozdawane honorowe nagrody, medale i dyplomy za najlepsze okazy. Program tej wystawy obejmuje jedenaście grup psów łowieckich ras niemieckich, angielskich, francuskich i włoskich, oraz pięć grup psów nie używanych do polowania.

Kasselska wystawa łowiecka wykazała niestety znaczny deficyt. Rząd i te koła wystawców, które wzięły porękę za koszta urządzenia, muszą dopłacić 60% do swych udziałów.

Na wystawie psów i koni myśliwskich, która się ubiegłego miesiąca w Petersburgu, w tamtejszej ujeżdżalni miejskiej, staraniem Towarzystwa racyonalnego myśliwstwa odbywała, wystawiono wogóle 400 sztuk psów, a między tymi: 70 chartów, 113 gończych, 90 ponterów różnej maści, 43 setterów, 23 legawych i 68 dogów, psów z góry św. Bernarda i innych różnej rasy i wielkości. Koni tresowanych do biegu z przeszkodami nadesłano 19.

Na Bukowinie, wedle doniesienia żandarmeryi, grasowały i grasują tej zimy w powiecie kimpolungskim, zwłaszcza w miejscowości Braza, wilki, lisy i niedźwiedzie w znacznej ilości, czyniąc w bydle wielkie szkody.

Z Bośnii. Starszy leśniczy, A. Geschwind, donosi do *Jagd. Ztg.*, że w ciągu roku 1889 ubito w powiecie trawnickim w Bośnii, 28 niedźwiedzi, 115 wilków starych i 45 młodych. W premiach za ubite drapieżniki wypłaciła kasa powiatowa 945 zł., licząc za sztukę niedźwiedzia 10 złr., starego wilka 5 złr., a młodego wilka 2 zł. Skórę ubitego drapieżnika oddaje władza temu, kto go ubił.

Z Charkowskiego donosi *Jużnyj kraj*, że na granicy tamtejszego powiatu napadło na przechodzących dwóch włościan z wsi Klenowej stado wilków, i jednego z nich pożarły. Drugi zdołał uciec.

Polowanie u prezydenta Francyi. P. Carnot wyprawił d. 8 lutego wielkie polowanie w lasach Marly pod Paryżem, na które zaprosił wojskowych attachés z wszystkich ambasad, znajdujących się w Paryżu. Myśliwych było ośmiu. Przy nadzwyczaj sprzyjającej pogodzie i pod umiejętnem kierownictwem inspektora lasów, ubito: 263 bażantów, 114 królików, 11 sarn, 1 jelenia i — 1 zająca!... Pułkownik Talbot z ambasady angielskiej musiał być zachwycony, zwłaszcza jeżeli polował kiedy w Indyach. Ale i nie szukając Indyj, jakże mizernie przedstawia się to polowanie wedle naszej polskiej miary. Jeden zając i kilkanaście sztuk grubszej zwierzyny, oczywiście sztucznie hodowanej w kniei. I to na polowaniu u naczelnika państwa!

Ceny dzierżawne za polowania błotne w Anglii dochodzą już dziś do bajecznych sum; 1.200 do 1.500 funtów szterlingów za dzierżawienie większych błót należy do cen zwyczajnych, a lord Walsingham np. za prawo dwumiesięcznego polowania na błotach w Merton-Hall płaci ni mniej ni więcej tylko 48.000 zł. w. a. czynszu!

Nieszczęśliwy wypadek — pisze jeden z korespondentów z Brukseli — wydarzył się tu na polowaniu. Radca miejski, pan Allard, zaprosił swego przyjaciela, także radcę miasta, Bergmanna, na polowanie. Ledwo rozstawiono myśliwych, padają pierwsze strzały i jednocześnie stojący opodal p. B. jęczy: *„Allard! tu m'a touché“*. Rana była śmiertelną i p. B. zmarł w dwa dni po wypadku. Można sobie wyobrazić rozpacz żony, dzieci i pana A., który ledwo zmysłów nie stracił z rozpaczy. Naturalnie, sprawa wywołała śledztwo. Dowodu przeciw panu A. nie było innego, jak ów wykrzyknik rannego, który padając, zawołał: „Tyś mnie zabił!“ Otóż sędzia śledczy chcąc się przekonać, kto był mimowolnym sprawcą tego nieszczęścia, sprawdzając fakt na miejscu

spostrzegł, że cały nabój, który przeszył zmarłego B., utkwił w drzewie, przy którem B. stał. Kazał więc drzewo spiłować — wydobyto nabój i przekonano się, że nie był on podobnym do tego, którym nabita była broń p. Allarda. Winnym był inny myśliwy. Wyobraźcie sobie radość pana A., któremu taki ciężar spadł z sumienia. Niemniej jednak wdowa i dzieci opłakują ojca i męża. Wspominam zaś o tem dlatego, że ten i podobne wypadki mają swe źródło w niezmiernej łatwości, z jaką tu ludzie dorabiają się pieniędzy. W lat kilka ten lub ów dorobi się pokaźnej fortuny i wtedy zdaje mu się, że już do wszystkiego jest zdolny. Najmuje sobie polowanie, kupuje kilka sztuk broni i sądzi, że jest doskonałym myśliwym. Skutek zaś tej niezwykłej ilości amatorów myśliwstwa taki, że w jesieni, jeżeli nie człowieka, to parę poczciwych psów życie musi tutaj postradać.

Okropny wypadek zdarzył się ostatniemi czasy w Gatczynie, znanej rezydencyi cara Aleksandra III. Żona łowczego cesarskiego, p. Ditzowa, wyszła ze swoim siedmioletnim synem Sergiuszem na podwórze, a spotkawszy się z żoną naczelnika polowań cesarskich, ks. Golicynową, zawiązała z nią rozmowę, skutkiem której było posłanie syna po gazetę do domu. P. Ditzowa zaś udała się do mieszkania księżnej, i tam oczekiwały na potrzebny dziennik. Kiedy wszakże po upływie pół godziny Sergiusz nie wracał, wyprawiono po niego dwunastoletniego chłopca, syna strzelca. Chłopiec po 5 minutach powrócił, powiadając, iż w połowie drogi spotkał gromadę psów, rozszarpujących coś okrągłego, czego skutkiem zmierzchu rozejrzeć nie potrafił. Pomimo użycia harapa, chłopiec dostać się do domu nie mógł, owszem zaledwie się obronił od psów rozsrożonych. Dopiero przy pomocy kilku ludzi zdołano psy odpędzić, poczem ujrzano poszarpane przez nie członki Sergiusza Ditza. Psy te, spłodzone z wilczycy, były ośmiomiesięcznemi szczeniętami, wypuszczonemi wypadkowo z poza kraty.

W menażeryi Pezona, w Brukseli, zdarzył się dnia 12. stycznia następujący wypadek. Wielki lew i centkowana hyena trzymane były w sąsiadujących ze sobą klatkach. Niewiedzieć z jakiego powodu zapałała hyena okropną do lwa nienawiścią i usiłowała kilka razy kratę wyłamać, aby się na niego rzucić. Król pustyni nie wiele dbał o te fochy swej sąsiadki, lecz wzmiankowanego dnia wieczorem, gdy służba czyszczeniem klatek była zajętą, udało się hyenie wpaść do lwa, a rzuciwszy się na niego, wpiła mu się w szyję zębami. Rozległ się ryk przerażający. Wszystka służba zbiegła się do klatki, chcąc widłami zażartą hyenę odczepić, lecz nadaremnie. Na to przybiegła pogromczyni, pani Castanel, i nie namyślając się wiele wskoczyła z batem w ręku do klatki. Hyena otrzymawszy bolesne uderzenie przez nos, odczepiła się i umknęła do swej klatki, ale rozwścieczony lew, nie uznając widocznie, że ma pogromczyni ocalenie swe do zawdzięczenia i słuchając jedynie uczuć bolu i zemsty, rzucił się na panią Castanel i jednem uderzeniem potężnej łapy powalił ją na ziemię. Ugodził ją w prawe udo, rozszarpał suknię i rozdarł ciało aż do kości. Z niesłychanem męstwem i panowaniem nad sobą zerwała się pogromczyni ze ziemi, a odpędziwszy lwa potężnemi razami bata, wysunęła się za drzwi, gdzie zaraz padła zemdlona. Ranę pani Castanel uznali jako bardzo ciężką i budzącą obawę o jej życie.

Niezwykła walka o byt stoczyła się na jednym z folwarków szląskich, jak donoszą *Görlitzer Nachrichten*. Na podwórzu zjawił się ogromny szczur i rzucił się niespodziewanie na żerującego wróbla. Napadniętemu pospieszyło natychmiast z pomocą całe stado wróbli i zawrzała zacięta walka. Szczur szukał ocalenia w ucieczce, wróble jednak przecięły mu odwrót i póty go dręczyły, aż wydziobały mu oczy. Oślepły szczur kręcił się po podwórzu przez chwilę, nie wiedząc gdzie uciekać, aż wreszcie dobity został przez służbę folwarczną, która na całą tę walkę patrzyła w najwyższem zdumieniu.

Polowanie na małpy. W dziewiczych lasach przesmyku panamskiego, nieopodal miasteczka Gorojona, polują na małpy dotychczas jeszcze w sposób, przypominający łgarstwa Münchausena, a przecież prawdziwy. Jak wiadomo wędrują tam małpy z drzewa na drzewo całemi gromadami, i to zazwyczaj pod przewodem starego samca. Pochodom takim towarzyszy wrzask nieopisany, małpy walczą o każdy znaleziony owoc, i dopiero wódz, wymierzając energiczne policzki, przywraca w niesfornem wojsku jaki taki porządek. Po wrzasku tym poznaje łowiec małp, w jakim kierunku gromada ich się posuwa, i zastawia tam na nie przynętę. Stanowi ją wydrążony orzech kokosowy z kawałkiem cukru w pośrodku. Otwór w orzechu jest dość wielki, ażeby małpa mogła wsadzić weń rękę, a sam orzech uwiązany na sznurze, którego drugi koniec trzyma ukryty w zaroślach łowiec. Gdy małpy ujrzą orzech, patrzą nań najprzód podejrzliwie, potem obchodzą go z daleka, nareszcie jedna z nich śmielszej natury przybliża się i wkłada rękę do środka. Pragnie wyjąć cukier, lecz gdy rękę w pięść złoży, jest już otwór za małym, aby ją wyjąć. Z tej chwili korzysta łowiec, i przyciąga zwolna orzech ku sobie. Małpa, nie chcąca cukru z ręki wypuścić, posuwa się za orzechem, inne zaś małpy, zdziwione i także łupu chciwe, w koło ją otaczają, wyprawiają piekielne krzyki i skoki, i tak cała gromada zbliża się niespostrzeżenie ku miejscu, gdzie sieć jest zastawiona. Za pociągnięciem drugiego sznura sieć nagle się zamyka, małpy dostają się do niewoli i jako pożądany artykuł handlu wędrują w różne strony świata.

Żywa pamiątka po cesarzu Maksymilianie. O ćwierć mili od Raguzy wystercza na sto metrów nad zwierciadło morza cudna wysepka *Lacroma*. Był tu dawniej kościół i klasztor Benedyktynów. W biegu wieków kościół ten różne przechodził koleje, a wiek XVII. zatarł do szczętu nawet imię Benedyktynów z Lacromy, aż w roku 1802. przeszła ta wyspa z klasztorem na własność bogatego mieszczanina z Raguzy. Klasztor przemieniony w przepyszny pałac letni, zachowujący mnóstwo jeszcze pamiątek z pierwotnego klasztoru, nabył nieszczęśliwy cesarz meksykański Maksymilian, i lubił go dla jego starożytności i czarującego położenia. Do dziś dnia znajduje się w tym pałacu jeszcze jedna żywa pamiątka po nieszczęśliwym cesarzu, a jest nią puhacz olbrzymich rozmiarów, który w klatce żelaznej smutny i ponury wyczekuje dnia ostatniego.

Jaskółki miały być już w starożytności do obsługi pocztowej używane. Oto pismo przyrodnicze niemieckie *Humboldt* przytacza z dzieła Stolla „Die Bilder aus dem altrömischen Leben", co następuje: „Szczególny środek zawiadamiania przyjaciół o zwycięstwie na igrzyskach, obmyślił Caecina Volaterranus. Gdy z dóbr swych z Grecyi udawał się do Rzymu na igrzyska, gdzie konie jego wystąpić miały, zabierał z domu każdego ze swych przyjaciół jaskółkę. Ponieważ należał do „niebieskich", przywiązywał do szyi każdemu z tych ptaków wstążkę niebieską, a gdy woźnica jego, po odniesieniu zwycięstwa, otrzymał złoty wieniec z rąk sędziego, Caecina wśród nieopisanej radości widzów wysłał jaskółki swe do domu, jako zwiastunów swego tryumfu".

Szczupak liczący lat 267. Cesarz Fryderyk II. wybudował koło Kaiserslautern zamek wówczas od miasta odosobniony. Przy zamku był wielki staw, dziś wysuszony „Kaisersweg". — Do stawu tego wpuścił był Fryderwk II. według podania kilku pisarzy, w r. 1230. własnoręcznie szczupaka ze złotą rozciągalną w miarę wzrostu obrączką, na której był w języku greckim następujący napis: Z pomiędzy ryb jest pierwsza która została rękami cesarza Fryderyka II. do tego stawu wpuszczoną, dnia 5. października 1230. Szczupak ten został podczas panowania elektora Filipa w roku 1497. złowiony i do Heidelbergu przewieziony. Miał on wówczas być na 19 stóp długim i ważyć 350 funtów. Na pamiątkę tego ciekawego doświadczenia o wieku szczupaka, kazał go elektor w naturalnej wielkości odmalować i zachował obraz w miejscowym zamku, położywszy pod nim taki napis: „To jest wielkość szczupaka, którego cesarz Fryderyk, tegoż imienia Drugi, własną ręką do stawu w Lautern wpuścił i takim pierścieniem zaznaczył rok 1230; przyniesiono go do Heidelbergu 6. listopada 1497. po 267-letnim pobycie tamże".

Za Redakcyę i Wydawnictwo odpowiedzialny: **Władysław Zontak**, ul. Teatralna Nr. 18. Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.